Nr. 19. Kraków, listopad 1909 r. Rok II.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1909 wynosi **3 kor.** — dla członków „Straży Polskiej“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal**

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

W samo serce.

W samo serce ugodziła Ojczyznę zbrodnicza ręka jasnogórskiego świętokradzcy. Cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, to najbardziej umiłowany przedmiot, jaki Polska posiada Mamy tyle rzeczy i przybytków o gnieźnieńskiej i kruświckiej starodawności, o wawelskim dostojeństwie i królewskości, o gotyckim i matejkowskim uroku — lecz nadewszystko szacownem i ukochanem jest owo palladium narodowe na Jasnej Górze wystawione: wizerunek Królowej Korony Polskiej. Najszczerszy i gorący kult maryański nawskroś przenika nasz Naród, którego olbrzymia większość z pobudek religijnych, a całość ze względów patryotycznych czcią bardzo wysoką otacza Częstochowę z jej Świętym Klejnotem. A miłość wszystkiego Narodu tam ma najjaśniejsze ognisko. Wielce bolesne zdarzenie świętokradzkiego łupiestwa odczuwa Polska, jako krzywdę nacechowaną wszelaką zbrodniczością, a w szczególności, jako zbrodnię narodową. Porwano się bowiem na widome Godło nierozdzielności narodowej pod berłem Niebieskiej Patronki, na Znak narodowej nadziei, iż z najgorszych potopów ocaleć i znów rozkwitnąć możemy: na kosztowną i śliczną Spuściznę przeszłości, wspaniale wyrażającą liczne wieki polskich dziejów. Zranił złoczyńca najszlachetniejsze uczucia naszego społeczeństwa, a to kainowe praw Boskich i ludzkich przestępstwo tak się zda okropnem, iż w tem raczej sprawę gnębicieli Polski, niż wyrodnego rodaka, upatrywać wolimy. Krzyk protestu i żałości wyrywa się z naszej piersi wzruszonej! A z nim i hołd najgłębszy dla tych wielkich ojczystych ideałów, których Obraz Częstochowski stał się symbolem i donośne wyznanie tego wszystkiego co w Polsce Najświętsza Panna Jasnogórska wyobraża.

Dr. Kazimierz Lubecki.

Jak to nazwać?

Najgłówniejszem zadaniem „Straży Polskiej“ była i jest obrona naszego społeczeństwa przed wrogim zalewem, bez względu na to, w jakiej formie ten zalew, to niebezpieczeństwo przychodzi.

Środkiem do tego jedynym, — to nasza zwartość, nasza jedność, wspólne i gorące postępowanie we wszystkich sprawach, tyczących życia naszego. Niech będą ścierania się stronnictw i stanów, niech każdy radzi nad tem, w jaki sposób najskuteczniej, dolę naszą poprawić można, ale niechajże wszystkim jawnie jeden przyświeca cel, jedno przekonanie, a tem: dobro ojczyzny naszej!

I nie było prawie numeru pisma „Straży Polskiej“ by nie znajdował się artykuł tej tylko poświęcony sprawie, o niej mówiący, do zgody i solidarności nawołujący. Czy artykułów tego rodzaju nie było za dużo? czy nie były one może zbyteczne? Lepiejby było, gdyby tak było w istocie! Niestety jednak!..

Gnębi nas ościenny wróg jeden i drugi — to prawda! Gnębi nas nasza niezaradność i powolność w pracy — to także prawda! Ale niszczy nas i do niechybnej ruiny prowadzi nienawiść pomiędzy nami istniejąca! Zazdrość i zawiść — oto przyczyny, które nasze biedne społeczeństwo polskie rozdzierając na tysiące kast, tysiąc partyj, tysiąc kąsających się obozów... Zawiść trwa i istnieje między stanami, między stronnictwami i między trzema zaborami również..

Skąd ona się bierze? Niewiadomo. Sieje ją pośród nas nasz wróg, sieją ludzie nasi lekkomyślni, przewrotni i głupi... Kto wie, czy od nich nie większe zagraża nam niebezpieczeństwo, niż od najokrutniejszego wroga.

Do którego „gatunku“ ludzi „naszych“ zaliczyć wypada autora artykułu „Osobliwości galicyjskie“, artykułu drukowanego w numerze 47 b. m. poznańskiej „Pracy“ — nie wiadomo! To pewna, że przynajmniej jeden z powyższych epitetów da się do niego przystosować w całości..

O cóż zatem chodzi? Oto niejaki pan „K“ napisał artykuł o Galicyi i Krakowie pod powyżej podanym tytułem, a „Praca“ wydrukowała ten utwór prawie że na naczelnem miejscu.. Utwór to istotnie jeden z najcenniejszych, jakie pojawiły się w tym roku jubileuszowym, oczi Słowackiego poświęconym. Dantejska bowiem w nim głębia, anielliczna prostota uczuć, Sokratesowska wiedza i... filozofia.

Pan „K“ przyjeżdża do nas w odwiedziny z pod pruskiego zaboru. Zrazu z zamiany granic zadowolony. Słyszy bowiem polski język, czyta polskie napisy.. Wnet jednak brzydnie mu Małopolska zupełnie! Oto kuryery i nie kuryery spóźniają się okropnie, w Szczakowej i Trzebini trzeba się dwa razy przesiadać, i czekać „bez końca bez miłosierdzia“... W Trzebini na stacyi nie widzi ani jednej gazety czeskiej lub słowiańskiej, ale za to żydowskie: „Zeit“ i „Neue Freie Presse“. Rażą go napisy niemiecko-polskie lub tylko niemieckie na budynkach rządowych, wymyśla na odbieranie z poczty listów rekomendowanych i krzyczy w głos: „(Okradanie człowieka z czasu) jest to specyalność galicyjska bo w Pradze nie ma tych formalności idyotycznych“.. Tak brzmi i o tem opiewa pierwsza połowa artykułu... Genialna i głęboka. Nieprawda?

Wszak panu „K“ nie można w tym wypadku udowodnić, że kłamie... Owszem... on ma słuszność. I kuryery się spóźniają i niemiecko-polskie napisy po gmachach rządowych istnieją, ale... ale, chciałbym się zapytać pana „K“ o jedno: Dlaczego na gmachach publicznych na Śląsku, w poznańskiem, w Prusiech Królewskich niema nietylko nazwy obok niemieckiej polskiej tylko są same niemieckie? Dlaczego biją dzieci po szkołach za pacierz polski? Dlaczego nękają Polaków w sposób przebolesny? Dlaczego? Czy wiesz panie „K“? Oto dlatego, żeście w niewoli, tak jak w niewoli jesteśmy my i Królewiacy. Wy się bronicie i walczycie, bronimy i walczymy my! Sprawy, które pan poruszasz są drobne stosunkowo, a jednak czy niewiadomo panu panie „K“, ile o naprawę tych stosunków starań się uczyniło i czyni ciągle?... Czy o tem gienialny autorze nie słyszałeś?

To jednak pierwsza połowa „artykułu“, jest jeszcze druga a tę chyba przedrukować trzeba. Oto, co pisze jakiś „K“, a drukuje poznańska polska „Praca“: Zupełnie podobnie biurokracya panoszy się na uniwersytecie. Wykłady dobre są, prawda, przynajmniej niektóre — ale zapisanie dokonuje się tylko w drodze szczególniejszej łaski (Czy słyszycie: łaski!!!) za podaniami, blankietami, formułami. Egzaminy są okropne. Na wydziale prawniczym n. p. egzamin najtrudniejszy jest w całej Austryi; z tego zaś wydziału — stwierdzono statystycznie — (?) wychodzą najgorsi prawnicy w całej Austryi. Szkoła średnia galicyjska osięga bardzo poważne wyniki — zabija zdrowy rozum w uczniach. Najlepiej to widać na dzisiejszem kole wiedeńskim, przedstawiającem przecież „kwiat inteligencyi“ ze szkoły autonomicznej. Oczywiście niemczyzna i tu kwitnie Profesor Creisenach (sic!) żyd wykłada po niemiecku; w bibliotece uniwersyteckiej podręcznej jest (?) 70% książek niemieckich (?) niema n. p. ani jednej historyi filozofii w języku francuskim, książki angielskiej, włoskiej.. Dyrektor biblioteki z pasyą kupuje każdą niemiecką tandetę. Prof. Garbowski n. p. wierzy tylko w Haecla a wykładając, kończy zdanie polskie po niemiecku (?) Kraków jest miasto literatów, nigdzie na świecie niema ich stosunkowo tyle. (?) Mało też jest miast gdzieby było tyle (producentów) rynków i tyle żydów. Drożyzna jest nieprawdopodobna a nędzą i pijaństwem przewyższa każde miasto (kto? co? drożyzna przewyższa?) i t. d. i t. d..

Trudno powtarzać te wszystkie wyrafinowane zwroty, sentencye i opisy. Zaiste bakatysta najzacieklejszy tak o Krakowie nie pisał!!!

Czy mam zbijać powyższe twierdzenia? Chyba nie! Obraziłbym „Straż Polską“, Kraków, czytelników i siebie! Powyższe dowody wystarczają aż nadto jako świadectwo poziomu umysłowego i etycznego autora!

Ale chodzi o rzecz inną a zasadniczą. Powyższy artykuł drukowała „Praca“, pismo katolickie i polskie, pismo jak dotąd dla sprawy narodowej zasłużone. Czy redakcya tego pisma nie spostrzegła, jakiej się zbrodni dopuszcza, drukując takie fałsze i paszkwile? Najpierw czytelników, nie znających Krakowa i naszych stosunków, wprowadza nieuczciwie w jak najgorsze o tem wszystkiem sądy; następnie, miasto pracować nad jednością duchową, wspólną pracą, nad zbliżeniem się i miłością wzajemną, ta redakcya rozrywa ostatnie węzły braterstwa i zgody, szkalując dzielnicę tak samo drogą wszystkim bo polską, bo stolicę piastowską.. A trzecie, co najgorsze i najboleśniejsze: drukując taki artykuł, podaje redakcya wrogom naszym, prusactwu broń do ręki przez własne wyrobioną ręce, a wyrobioną na siebie samego! Jakżeż śmiało może wykrętny wróg walczyć taką bronią wobec całej Europy nawet!..

Redakcya „Pracy“ przez oczy pana „K“ widzi w Krakowie tylko ogłupienie i biurokracyę, pijaństwo i nędzę, niemczyznę i żydowstwo... Istotnie czegoś lepszego w Krakowie znaleźć trudno... Dziwi mnie tylko rzecz jedna — a to jest — krótka pamięć redakcyi „Pracy“!!! Czy jej nie wiadomo przypadkiem, że tu w Krakowie myśli się o kresach przeciwko niemczyźnie najwięcej? że tu, w tym podłym Krakowie potajemnie przyjmuje się młodzież polską z pod obcego zaboru i tę młodzież w duchu narodowym kształci i rozwija? że tu w tym haniebnym Krakowie biją krwawo serca na każdą wiadomość o niepowodzeniu współbraci pod Prusakiem? że tu, na tym biurokratycznym uniwersytecie znajdują przytułek, gościnę i stypendya młodzi emigranci z Królestwa i Poznańskiego? że z tego podłego uniwersytetu wychodziły i wychodzą najtęższe głowy, *lumina Poloniae?* Czy wiadomo patryotycznej Redakcyi, że tu, w tym poniewieranym przez nią Krakowie tysiące ludu polskiego ze Śląska i Wielkopolski znajduje gościnne przyjęcie, pokrzepienie duszy i serca? Czy to wszystko wiadomo?

A na Boga żywego klnę się, że nie wypominamy tego w samochwalstwie i dumie, lecz w rozgoryczeniu i bólu, że za obowiązki przez nas spełniane spotyka nas taka... ocena. Plujemy na siebie i hańbimy się! Oczerniamy i naigrawamy się! Zaiste, miłość braterska żywie pośród nas! Niechodzi mi — powtarzam raz jeszcze — ani o jakąś literę „K“, ani o całą redakcyę „Pracy“, ale o prawdę, o lud polski, który „Pracę“ czyta chętnie, i o skutki tego artykułu!! Nie jest to słowo pierwsze! Z bólem stwierdzić należy, że takie wypadki zdarzały się... Pisane jednak były przeważnie przez zaprzedańców takich, do jakich należy n. p. wydawnictwo „Ślązaka“.

Czy „Praca“ chce panu Koździoniowi „robić“ konkurencyę?

A. E. Balicki.

Odezwa do duchowieństwa.

Taki tytuł, a nie „Po wystawie“, należałoby dać artykułowi ks Makłowicza, umieszczonem w nrze 35. *Gazety Kościelnej*. Szanownemu jednak autorowi nasunęły się jego uwagi pod wrażeniem wystawy przemysłu liturgicznego — stąd i tytuł skromniejszy, niż treść artykułu. A treść ta bardzo poważna, bardzo obywatelska. Z tego powodu „odezwę“ tę przytaczamy prawie w całości.

Wystawa kościelna, choć bardzo skromna, — pisze ks. M. — cel swój spełniła: udowodniła, że twórczość w kraju w dziedzinie przemysłu liturgicznego może doskonale zaspokoić potrzeby kościoła, że więc zerwać można z dotychczasowymi w tej dziedzinie stosunkami.

Czas teraz okaże, jak powyższy obowiązek patryotyczny spełnimy.

Potężny głos „Zygmunta“, melodyjne tony organu leżajskiego, przypominają, że dawnymi czasy kler polski w budowaniu i wewnętrznem urządzeniu kościołów obywał się bez cudzej pomocy, że grosza, zebranego w skarbonkach kościelnych, grosza ludu polskiego, nie słał za granicę. Biskupi polscy stanęli w poprzek fali germanizmu, oni też świątynie polskie uczynili świątyniami narodowych pamiątek

Choćby nas raziło niedostateczne obesłanie wystawy, trwać nam przy myśli patryotycznej dawnego kleru!

Dlaczegóż tak wielka część polskiej młodzieży szkolnej modli się z książeczek Steinbrennera, skoro mamy swoje drukarnie, swoich introligatorów, swoje wydawnictwa?

Czemuż paki z napisem „Kerzen“ mają urągać nam w oczy z patryotyzmu naszego, kiedy i u nas pszczoły wosk lepią, u nas ropa obficie płynie, u siebie mamy fabryki świec do kościołów?

Czemuż na kolędę kupujemy milionami obrazki „nakładu“ naszych kupców, ale wydawane i drukowane u Albrechta w Berlinie, u Schemma w Norymbergii, u Kuhlena w Gladbach, skoro mamy polską fabrykę obrazków w Pleszewie?

A czyż nie milej by było, gdyby głos dzwonu mówił nam: polski robotnik wylał mię z metalu, niż żeby dzwonił: „ich bin von Wien gekommen“?

Jakto miło, patrząc na stare ornaty, wspomnieć, że nasze królowe i królewne je haftowały, lub, że uczyniły je ręce polskich zakonnic, czy też innych pracowni, które z myślą o Bogu wykonywały te szaty kościelne.

Czyż nie słusznie pisano w jednem z naszych pism katolickich, że żaden import nie jest tak „zawstydzająco przykrym, jak właśnie w przemyśle liturgicznym“? Często w kościele oprócz ścian wszystko jest niemieckie, pruskie (ale za to w takich kościołach grzmią, aż szyby brzęczą: patryotyczne kazania).

Bracia nasi w Ameryce sprowadzają aż przez rozległe oceany witraże krakowskie, aby cieszyć się widokiem pracy i myśli polskiej, a mybyśmy mieli, omijając nasze fabryki, z Prus, z Tyrolu artykuły kościelne sprowadzać?

Wiarę miejmy, że kraj da się uprzemysłowić!

Niech rodzima twórczość zwiększa się, bo inaczej ruina grozi krajowi. Widmo tej ruiny mówi nam:

Nawet z ofiarami ciężkiemi popierajcie twórczość swojego kraju!

Niech każda rzecz w kościele przypomina: Za polski grosz z polskich rąk jesteśmy!

Każdy z nas powinien się zaopatrzyć czy to w katalog wystawowy, czy w inny skorowidz naszych fabryk i pracowni liturgicznych. **Popierajmy doskonałą „Straż polską“ i jej pismo bojkotowe.**

Precz z sentymentalizmem patryotycznym, z pięknemi tylko słówkami o miłości Ojczyzny, czyn tylko Ojczyznę wyratuje. Przykładem uczmy Polaków, że czas ostatni pozbyć się głównych wad polskich: braku zasad, braku wytrwałości i systematycznej przewidującej obrony przed wrogiem.

Trzebaby kramiki po parafiach zaprowadzać dla kolportażu katolickiego, dla szerzenia polskich dewocyonaliów, znaleźć do tego człowieka w parafii i w starostwie formalności załatwić. Dotychczas kramikarze odpustowi sprzedają senniki i listy z nieba na urągowisko z nauki Kościoła; sprzedają też różańce, obrazki, figurki od żydów brane, w protestanckich fabrykach wykonane

My główni kupcy na dewocyonalia. Od nas najwięcej zależy przemysł liturgiczny. Miliony rocznie za granicę idące, gdybyśmy zechcieli — wstrzymalibyśmy! Trzeba mocno chcieć i zbyć się uprzedzeń!

I tych, których w szkołach kształcimy, uczmy, by swoich raczej wspomagali, a nie tych, co grosz nasz na dar Roseggera ślą, lub na wykupno polskiej ziemi!

Przypominajmy im, że Turek zdobył się na wytrwały i bardzo skuteczny bojkot, a Polak by się nie zdobył, co Turków gromić umiał? — Gdy nie wychowamy odpowiednio społeczeństwa, na nic bojkoty!

Do nowego Grunwaldu tylko mocą ducha dojść możemy.

Wystawa zamknięta — niech się duch nasz nie zamyka na rzucone hasło: Stworzyć bogactwo narodowe!

Nie będą wtedy — gdy się je wykona — robotnicy polscy ginąć w kopalniach pruskich milionerów.

Nie będzie się odrywało od ojczyzny rocznie kilkadziesiąt tysięcy emigrantów.

Autor kończy swe wezwanie wyjątkiem z listu pasterskiego ks arcyb. Bilczewskiego „O ofiarności“: „Kto majątku swego na sprawy publiczne użyć nie umie, temu go szkoda... Tacy ludzie nie mają żadnego poczucia obowiązku wobec swojego narodu“. — Słusznie też — mówi ks. M. — autorka cennej rozprawy „O miłości Ojczyzny“ zwie ich „naturami potwornemi“, „członkami martwymi“ na ciele Ojczyzny, bo mniej w ich sercach patryotyzmu, niż nawet u szlachetniejszych z pogan“.

„Zasady wychowania narodowego“.

Referat pod tym tytułem, napisany przez Z. Balickiego, a wygłoszony przez prof. Wincentego Lutosławskiego na zjeździe pedagogicznym we Lwowie, ukazał się w ostatnim zeszycie *Przeglądu Narodowego*, który świeżo właśnie opuścił prasę. Przytaczamy parę ustępów z referatu tego, który przedstawia ujęcie problematu wychowania ze stanowiska narodowego.

„Wychowanie człowieka, wychowanie obywatela, wychowanie narodu — oto trójjedyne zadanie, które staje przed każdem pokoleniem wychowawców, bez względu na to, na jakiem polu działać im przychodzi.

Wychowanie człowieka, wychowanie obywatela, wychowanie narodu całego! To znaczy — w porządku doniosłości zadań: wychowanie rodzimej duszy narodu w każdem wstępującem w życie pokoleniu, wychowanie jego instynktów społecznych, wreszcie wychowanie charakteru w jednostkach.

Określenia ogólne, jak wychowanie w duchu narodowym, wychowanie patryotyczne, wystarczać mogą tylko wtedy, gdy się przeciwstawiają pojęciom i stanom przeciwnym: wychowaniu wynaradawiającem lub beznarodowemu. W działalności budującej — a taką w samem swem założeniu musi być każda zdrowa działalność wychowawcza — określenia te stają się ogólnikami, w które dopiero należytą treść wcielić należy.

Można wychować młode pokolenie w czgaltacyi dla oderwanego pojęcia Polski, a nie dać mu podstaw patryotyzmu; można wszczepić mu jak najobszerniejsze wiadomości z dziedziny języka, historyi i literatury polskiej, a nie dać mu wychowania narodowego; w tych bowiem pojęciach mieści się cały świat duszy, leżący poza umiejętnością i wiedzą, świat równie niedostępny dla beznarodowo, choć po polsku, wychowanego młodzieńca, jak jest nim dla cudzoziemca, chociażby posiadał całą dla Polski sympatyę, znał dokładnie jej życie przeszłe i teraźniejsze i przejęty był współczuciem dla jej losów.

Wychowanie narodowe wymaga od jednostki innego stosunku do Ojczyzny, niż jako do czegoś, co na zewnątrz duszy naszej istnieje, przy całem pragnieniu dobra tej Ojczyzny i potępianiu wszystkiego, co w nią godzi. Dusza polska nietylko nosi Ojczyznę wewnątrz siebie, ale czuje się również wewnątrz niej, wszystkiemi swemi splotami z nią zespoloną i zlewa całkowicie swą osobowość z jej jaźnią — a taki związek tylko wówczas utrwalić się może, gdy pokłady instynktu narodowego sięgają do głębin przeszłości ojczystej.

„Od chwili — mówi A. Comte — gdy się poznaje, że się ma wspólnych przodków, gdy się wie o tych zmarłych, którzy nami rządzą, od tej chwili ma się Ojczyznę“. Dzieje narodu powinny być wiekowem wykonywaniem testamentu, pozostawionego przez tych, którzy nadali narodowi swemu osobowość między innymi narodami w postaci państwa i nakreślili drogi jego przyszłości. Wola zmarłych przodków ożywia i zapładnia wolę żyjących: trzeba, żeby się ona spełniła, a wtedy spełnią się dziejowe zadania narodu. Żywe obcowanie ze zmarłemi pokoleniami — oto czem powinna być historya ojczysta dla młodzieży, jeżeli ma być rzeczywistą podstawą jej patryotyzmu, zadatkiem ścisłego zespolenia jej z tą Ojczyzną, która była, jest i będzie.

„Historya narodu zapisana jest żywemi głoskami w duszach obywateli — mówi jeden z myślicieli młodszego pokolenia, Ludwik Posadzy [1]) — Sięgnąwszy w głąb duszy, może każdy obudzić w sobie te uczucia, które wstrząsały dawnemi pokoleniami, albowiem każdy człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo społeczeństwa, w którem żyje, i nosi w sobie jego rysopis. Kto umie genezę tego rysopisu w sobie wyczytać, posiada rzadki dar intuicyi historycznej“. Rozwijać w młodem pokoleniu tę intuicyę historyczną, kazać mu przeżywać wespół z narodem jego dzieje, na pamiętnikach odtwarzać ważniejsze ich momenty, obrazować z całą plastyką życie, obyczaje i wierzenia, zawody i nadzieje pokoleń minionych i na tem tle ryć w jego duszy wiekowy testament narodu — to nietylko coś więcej, to zupełnie co innego, niż uczyć chronologii i wyliczać wypadki dziejowe.

Związek ze zmarłymi obejmował niegdyś związek z ziemią, w której prochy ich spoczęły. To właśnie zespolenie krajoznawstwa z historyą łączy w umysłach młodzieży przyrodę rodzimą i ziemię ojczystą, groby przodków, ślady dawnej kultury i zabytki przeszłości, oraz ludzi żyjących z ich cechami dziedziczności plemiennej, ich zabiegi gospodarcze, dorobek cywilizacyjny, walki i troski dzisiejsze — w jeden wyrazisty obraz Polski. I znowu takie poznawanie kraju to zupełnie coś innego, niż geografia formalna ziem polskich i suche wiadomości o stanie kultury na tych ziemiach

Łącznikiem pokoleń i żywem ogniwem, wiążącem spółczesnych w naród, jest mowa ojczysta. Młodzież powinna czuć i wiedzieć, że język, którym mówi, służy nietylko do wyrażania myśli w najłatwiejszej dla Polaka formie, ale do wyrażania duszy narodu, że w nim, jak w źwierciadle, odbijają się: jego dar spostrzegawczy, metody myśli, charakter uczuć i wogóle te szczególne cechy, które nadają swoistą postać duchowej jego indywidualności. W ścisłości języka i mowy leżą zadatki prawdy, tkwiące w umysłowości narodu. Słusznie też powiedziano, że „język narodowy jest tem doskonalszy, im trudniej w nim kłamać“. Na mowie ojczystej młodzież uczyć się powinna tej prostoty i prawości orzeczeń, która nie znosi ani dwuznaczności, ani rozciągliwości pojęć, ani umysłowego szalbierstwa. Dosadność, trafność i jędrność wyrażeń jest najlepszą ochroną przed wielomównością w słowach, tą cechą umysłów małych, która tak łatwo rodzi wielomówność w czynach — cechę charakterów małych. Jedna jest obu tych wad natura: nagromadzenie danych bez treści, nie dających materyału do wniosków — tego początku wszelkiego celowego działania. Dlatego zwięzłość mowy jest bezwiednem ćwiczeniem zdolności do czynu. Zaprawiajmyż młodzież na staropolszczyźnie do odzwierciadlania w języku cech zdrowego, potężniejącego narodu, a nadewszystko uczmy ją odczuwać ducha języka, a nietylko znać zasady jego form poprawnych.

Jeżeli język jest środkiem do wyrażania duszy narodu, to literatura ojczysta jest bezpośrednim tej duszy wyrazem. I tu właśnie pole do wyrabiania w młodem pokoleniu tego czucia subtelnego, tej nawet intuicyi bezpośredniej, która odrazu pozwala rozpoznać, co w piśmiennictwie polskiem jest odbiciem nieskażonej niczem duszy narodu, co jest naleciałością obcą i naśladownictwem, a co jej zboczeniem i zwyrodnieniem. Wszystkie wielkie dzieła literatury wszechświatowej odbijały w sobie ducha tych narodów, które je wydały, i niema utworów pomnikowych, któreby tego piętna nie nosiły na sobie. Jak niema pięknego krajobrazu w malarstwie, któryby nie odtwarzał swoistej przyrody w pewnym czasie i miejscu, widzianej przez pryzmat duszy artysty, tak samo niema takiego piękna w literaturze, któreby nie było odbiciem swoistej narodowej duszy jego twórcy. Wielkie dzieła piśmiennictwa polskiego, w stopniu wyższym,

[1]) W tej książce: „O posłannictwie narodów europejskich. Pomysły do filozofii dziejów Francyi, Niemiec i Polski“, Inowrocław, 1909.

niż jakiekolwiek inne, są bezpośrednim wyrazem nietylko ducha narodu, ale i myśli narodowej; w nich zawiera się wszechogarniająca synteza wierzeń polskich, zniczaca blaskiem poezyi wyżyny, do których wznosić się powinna myśl twórcza każdego z następujących po sobie pokoleń.

W piśmiennictwie, zarówno jak i we wszystkich dziełach ludzkich, umysł młodzieży szukać powinien nie tego, co nowe, lecz tego, co niepożyte i wieczne. i wynajdować nie to, co zasługuje na krytykę i budzi zwątpienie, lecz to co jest godne uwielbienia i budzi zachwyt. Wtedy umysł młodzieńczy odkryje prawdziwy skarb, w piśmiennictwie ojczystem zawarty: pozna to, co w życiu, w dziełach człowieka i w duszy ludzkiej jest godne kochania.

Życie się z dziejami, z ziemią i ludźmi, z mową i literaturą ojczystą, daje młodemu pokoleniu podstawy pozytywnego patryotyzmu. Miłość Ojczyzny, jeżeli ma pozostać w wieku dojrzałym zdrową, czystą i wielką, nie może się żywić za młodu sokami, płynącemi z uczuć negatywnych, z nienawiści i przeczenia w jakiejkolwiek postaci. A nie dlatego bynajmniej, że uczucia te są „niehumanitarne“, lecz dlatego, że z dwóch kierunków duchowych, składających się na indywidualność narodu: pozytywnego i negatywnego, twórczego i zaprzecznego, jednego zwróconego na wewnątrz, drugiego na zewnątrz, uczuć łączących i uczuć dzielących, świadomej siebie woli i odruchowych popędów myśli organicznej i myśli opozycyjnej, — pierwszy tylko jest kierunkiem budującym. Uczucia zaprzeczne mogą mieć o tyle tylko wartość społeczną, o ile są negacyą negacyi, grożącej pozytywnym, świadomym siebie i celowym usiłowaniom narodu, to też burzyć cokolwiek ma prawo tylko ten, kto tworzy. Pokolenie, wychowane w atmosferze uczuć negatywnych, przestaje być zdolne do pracy twórczej, rodzi wiecznych opozycyonistów i umie żyć już tylko negacyą. Samo nie wiedząc kiedy, przenosi ją na sprawy własnego kraju i na życie jego wewnętrzne i staje się zaczynem rozkładu duszy swego narodu.

Oparty na przesłankach wyłącznie dodatnich, wrośnięty korzeniami w rzeczywistą przeszłość i złączony mocnemi węzłami z rzeczywistą teraźniejszością, patryotyzm młodego pokolenia będzie patryotyzmem realnym, będzie on przedewszystkiem do osiągnięcia „tego, co jest wszędzie“, a nie tworząc sobie przesadnego, więc błędnego pojęcia o wartości swojej ojczyzny, zapragnie przyczynić się do rzeczywistej jej wyższości pośród innych narodów. W takim patryotyzmie wychowany naród będzie dopiero mógł z czasem powiedzieć o sobie: „Skromnym się czuję, gdy wglądam w siebie; dumnym — gdy się porównywam“.

Niemcy w Galicyi.

(Ciąg dalszy).

Lecz wróćmy do przerwanego regestru niemieckich ewangielickich kolonij w Galicyi Wschodniej.

Powiat sądowy cieszanowski posiada 1 osadę (Deutschbach); pow. sąd. lubaczowski 3 osady (Felsendorf, Reichau, Lipowiec); pow. sąd. jaworowski 5 (Jazow Stary, Berdychów, Mosberg, Zbadyń, Schumlau); powiaty sądowe rudecki, krakowiecki, żółkiewski, rawski, sokalski, czortkowski, mikuliniecki, złoczowski i oleski po 1 osadzie (Kupniowice Nowe, Rehberg, Błyszczywody, Einsingen, Zboiska, Połowce kolonia, Konopkówka, Bronisławówka, Sobolówka); w powiecie sądowym kulikowskim 2 osady (Theodorsdorf i Krasiczyn); w pow. sąd. Kamionka Strumiłowa 10 (Hanunin, Józefów, Mierów, Romanówka, Sabikówka, Stanin, Sapieżanka, Suszno, Wola Suszańska, Peratyn) i pow. sądowe Przemyślany i Gliniany po 2 osady (Dobraniec, Uszkowice i Unterwalder — Podhajczyki).

W grupie tej, obejmującej 34 kolonij widzimy największe skupienia Niemców ewangelików w powiatach rohatyńskim i jaworowskim, w ostatnim znajduje się nadto kilka kolonij katolickich. Możnaby przypuszczać, że kolonie rozrzucone po jednej lub po dwie w powiatach, o ile nie opierają się na niemieckie kolonie w sąsiedztwie, pozostają w upadku.

Na Podkarpaciu najsilniejsze zajęli stanowiska Niemcy ewangeliccy w powiatach sądowych medenickim, bolechowskim, dolinańskim, kałuskim, stryjskim i drohobyckim, tworzącym poniekąd całość. Obok szeregu większych niemieckich katolickich osad, przypada na te powiaty kolonij niemieckich ewangelickich 17 (Josefsberg, Krynica, Letnia, Ugartsberg, Brigidau, Gelsendorf, Grabowiec Stryjski, Duliby, Landestrem, Ugartthal, Debelówka, Engelsberg, Babilon Nowy, Bolechów Ruski, Haziejów Stary[1]). Dodać należy jeszcze osady większe powiatów sądowych: Delatyn, Otynia, Stanisławów, Sambor, Ustrzyki i Dobromil z większymi koloniami, których jest (dr. Buzek wymienia) 10 (Siedliska, Konstantynówka, Neudorf, Knihinin Wieś, Burczyce Nowe i Stare, Bandrów kolonia, Bereby Dolne[2]), Preuzenthal, Obersdorf).

Z powyższego widać, że podana przez prof. dr. Buzka liczba niemieckich osad ewangelickich w szczególności co do Galicyi Wschodniej jest stanowczo za niska, natomiast przytoczona ich liczba przez Harlessa i Fritschego 274, z czego 18 osad ewangelickich odpada na Galicyę Zachodnią, a więc liczba 256, zamiast 80 u prof. dr. Buzka, odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy, przyczem zauważyć trzeba, że prof. dr. Buzek uwzględnia tylko czysto niemieckie większe kolonie.

Większa liczba tych osad w Galicyi Wschodniej, właśnie mniejsze, stanowią dowód rozrostu niemieckiej ewangielickiej ludności w tej części kraju, gdyż wyszły one z pierwotnych kolonij „jozefińskiej“, jak z ulów nowe roje pszczół. W dawnym obwodzie stryjskim, szczególnie w powiatach sądowych: stryjskim, medenickim, kałuskim i dolinańskim, gdzie nadto znajdują się silne kolonie katolickie, zajmują niemieckie skupienia stanowisko germanizujące, do czego stosunki miejscowe podatne tworzą pole. Na Podkarpaciu odporniejszy żywioł polski stosunkowo jest najsłabszy, a wskutek tego niemczyzna w rozroście swoim prawie żadnej nie napotyka zapory, a nawet owszem znajduje silne poparcie ze strony żywiołu żydowskiego, w tych stronach bardzo licznego.

Żywioł niemiecki dotarł na Podkarpaciu ruskiem do miast. W Śniatynie, Kołomyi, Stanisławowie, Stryju, Dolinie, Kałuszu i Bolechowie tworzą osady niemieckie silne skupienia przedmiejskie, nadające tym miastom podkład niemiecki. Widzimy to w części także we Lwowie, wykazującym zdumiewająco wysoką liczbę chrześciańskiej niemieckiej ludności w stosunku do innych większych miast środkowej i zachodniej Galicyi, objaw, którego inaczej trudno sobie wytłumaczyć, jak napływem Niemców z pobliższych kolonij, z których w istocie rzeczy pewna część polszczy się, większa jednak trwa przy narodowości swojej i pomnaża zwolna i stopniowo niemieckość stolicy kraju.

O stosunkach w galicyjskich niemieckich koloniach dowiadujemy się z pism superintendenta Fritschego zajmujących szczegółów. W Krakowie liczy zbór ewangelicki 721 dusz, między temi 358 Polaków, 353 Niemców i 10 innych narodowości. Niemcy są zatem w mniejszości. Mimo to w kościele i zborze przeważa język niemiecki, a wyznaniowa trzyklasowa szkoła z prawem publiczności jest niemiecką, zaś rada gminna udzielała tej szkole roczną zapomogę. Niemcy, tworzący mniejszość, dzierżą cały zbór i szkolnictwo wyznaniowe w starej stolicy Piastów i Jagiellonów w swoim ręku, dodajmy, li wskutek naszej opieszałości i gnuśności narodowej.

W niemieckiej Lednicy, należącej do ewangelickiej parafii krakowskiej, założono szkołę wyznaniową *Gustav-Adolf-Verein*. W miejscowości tej niema zgoła Niemców.

[1]) Są to atoli same większe osady. Mniejsze pominął dr. Buzek, mianowicie: miasto Bolechów, Lesowice, Haziejów Nowy, Niżniów Dolny, Wołoska Wieś, miasto Doliniec, Dobrohstów, Neudorf, Stehnik, Ułyczno, Siwka Kałuzka, Diamantheim, Wygoda, Oleksice Nowe, Komarów, Sokołów, miasto Stryj Majdan Dolny i Średni, mające niemieckiej ludności protestanckiej przeszło 3200. Są to w większej części nowsze osady, wyszłe ze starszych rozsadników kolonialnych.

[2]) Pominięta jest Kołomyja. Parafia ewangelicka kołomyjska liczy 3900 dusz. Do niej należą: Brethem (720 dusz), miasto Kołomyja, przedmieście Mariahilf (1510 dusz); dalej osady: Knichinin Wieś, Kranzberg. W spisie osad niemieckich ewangelickich w Galicyi Wschodniej pominięto u dr. Buzeka: Deutsch-Zmolin, Baginsberg, Sołotwina Neudorf (Bregidau), Zbora, Goliszów, Sulichów, Heinrichshof i inne jeszcze.

Niemiecka gmina wyznaniowa Biała-Lipnik liczy przeszło 2000 dusz. Do tej parafii należy czysto polska osada ewangelicka Salmopol z niemiecką szkołą wyznaniową, utrzymywaną przez *Gustav-Adolf-Verein* i wiedeński *Schulverein*.

Istnienie swe zawdzięcza zbór ewangelicki bialski królom polskim, którzy prześladowanym protestantom dozwolili osiedlić się w Lipniku, z którego później rozrosło się miasto Biała. W archiwie gminnym lipnickim przechowuje się edykt króla Stefana Batorego, chroniący miejscowych osiedleńców od prześladowania. Królowie polscy dając w tych stronach przytułek prześladowanym na Śląsku dysydentom niemieckim, wzmocnili tym sposobem osadnictwo niemieckie, pochodzące z XIII w., którego szczątki przechowały się w części. Czyn ten prawdopodobnie uratował te szczątki od zupełnej zagłady, a ostatecznie stworzył niebezpieczny dla nas zakątek bialski.

Mimowoli przypomina się wdzięczność niemiecka, gdy mamy na uwadze najzapalczywszą nienawiść ku nam bialskich hakatystów, szczególnie ewangelickich, którzy jednak nawet po upadku Polski zawdzięczają swe istnienie i rozwój gminy nie patentowi tolerancyjnemu cesarza Józefa II, lecz takiemu patentowi króla Stanisława Augusta, o który się oparli. Gdy bowiem Austrya zabrała Galicyę, gmina stanęła okoniem na podstawie tak zwanego „traktatu warszawskiego“ z r. 1768 (edyktu tolerancyjnego króla Stanisława Augusta, uchwalonego przez sejm polski), który dysydentom powrócił stare ich prawa i wolności, poręczone w „pax dissidentum“ z r. 1573 — nie uznając jozefińskiego patentu tolerancyjnego. Toczyła gmina ciężką walkę wobronie nadanej jej przez Polskę wolności i w końcu zwyciężyła, a to zapewniło jej rozwój. Tym sposobem zbór bialski, podczas gdy inne gminy wyznaniowe ewangelickie zniewolone były odprawiać nabożeństwa swoje w niepokaźnych domkach modlitwy, posiadał w środku miasta piękny kościół, prawie bez przykładu w Austryi, gdyż jedynie zbór w Tryeście mógł się wówczas poszczycić czemś podobnem.

Biała posiada wzorowo zorganizowane szkolnictwo wyznaniowe, do którego język polski żadnego niema przystępu, mianowicie: cztero-klasową szkołę ludową z prawem publiczności, trzyklasową szkołę wydziałową i jednoklasową szkołę dla dziewcząt, to samo też szkoły ludowe w Lipniku i Salmopolu.

Zbór w Nowym Sączu jest od r. 1802 samoistny. Narodowcy niemieccy usiłują tu założyć trzyklasową szkołę niemiecką, lecz podobno nie posiadają na to jeszcze odpowiednich środków.

Lwów posiada bardzo silną gminę ewangelicką. Liczy ona w mieście i najbliższej okolicy 2933 dusz (r. 1900), w tem tylko piąta część Polaków, w filiach zaś 2469 dusz samych Niemców. Przy wielkiej miejskiej szkole wydziałowej niemieckiej, hojnie wspomaganej przez miasto Lwów, zajętych jest 12 nauczycieli. Uczęszcza do niej znaczna część dzieci polskich innych wyznań, jest zatem rozsadnikiem niemczyzny nawet za obrębem zboru.

„O Stanisławów — pisze Fritsche — nie boli nas głowa. Tam pracuje pod hasłem: „U Boga nic niema niemożliwego“ dzielny proboszcz Zöckler, który w najkrótszym czasie utworzył czteroklasową szkołę i przytulisko dla dzieci“ — rozumie się obywda zakłady niemieckie.

Gmina wyznaniowa w Kołomyi liczy 3900 dusz. Posiada 6 filij parafialnych, 10 szkół, przy których jest czynnych 11 nauczycieli. Parafianie mieszkają w 56 miejscowościach.

Nowe szkoły zbudowano oczywiście przy pomocy *Gustav-Adolf-Vereinu* i *Schulvereinów* w niemieckich Gołkowicach, niemieckim Smolinie, Dolinie-Broczkowie, Einsiedel, Einsingen, Gassendorf, Neudorf-Brigidau, Bronisławowie, Babensbergu, Sołotwinie, Mosbergu, Neuhofie, Ugartsbergu, Zborze, Diamantenheim, Niemieckiej Lednicy, Sobolówce, Reichenbachu, Majkowicach, Sewerynówce, Mogile, Horochlinie i Jazowie.

Największe szczerby porobiła pruska komisya kolonizacyjna w osadach powiatu sądowego cieszanowskiego i lubaczowskiego, mianowicie w parafii Reichau, do której należą osady: Reichau, Felsendorf, Niemiecki Smolin, Lindenau i Deutschbach, gdzie się znajdowała filia parafialna. Ludność niemiecka w tej parafii zmniejszyła się wskutek wychodźctwa o 700 dusz. Z go-

spodarzy-kolonistów pozostało w Deutschbachu tylko dwóch.

Do najbiedniejszych gmin wyznaniowych należy Engelsberg i Bandrów I tu komisya pruska kolonizacyjna porobiła szczerby. Do zboru bandrowskiego należą wsi kolonialne prócz samego Bandrowa: Steinfeld, Siegenthal, Obersdorf i Preuzenthal. Pastor tego zboru, I. W. Söhlich donosi o swej parafii: „Fizyczny stan mojej niemieckiej parafii jest bardzo dobry. Świeże górskie powietrze tej lesistej okolicy służy zdrowiu doskonale. Nawet w Bandrowie, gdzie koloniści jedzą chleb owsiany, po największej części ludzie są silni do roboty. Stan moralności równie dobry. Pijaństwa mało. Rola chuda, więc nikt nie posiada zbytku środków żywności. Tutejsi koloniści pochodzą z okolicy, gdzie Men wpływa do Renu. Język gmin nie jest jednakowy“.

Wogóle gwary niemieckich kolonistów w Galicyi ogromnie zepsute, przedstawiają ogromną mieszaninę i łataninę, podobnie jak ich zwyczaje i obyczaje, co się tłumaczy różnorodnem ich pochodzeniem. Są oni zbieraniną z całych Niemiec. Fritsche pisze o ich pochodzeniu: „Na zawołanie wielkiego cesarza (Józefa II) niezapomnianej pamięci, chociaż i wówczas znane było przysłowie: *In Polen ist nichts zu holen* (Z Polski nic wynieść nie można), mimo to tysiące pospieszyły do Galicyi ze wszystkich części Niemiec, z okolic Renu i Menu, z gór Taunus i Handruck, z Moguncyi i Tryeru, z reńskiego i elektorskiego województwa (Rhein- und Kur-Pfalz), z Bawaryi, Hessyi, Nassau, Badenu, Wirtembergii, Alzacyi i Szlezwik-Holsztynu“.

Dalej pisze o koloniach: „Nadzwyczaj miłe błogie wrażenie otrzymuje pątnik, jeśli przebywszy najnędzniejsze polskie i ruskie osady po drodze, stanie na niemiecko-protestanckiej oazie. Po największej części posiadają czysto niemieckie kolonie podwójne rzędy domów, ciągnące się po obydwóch stronach drogi wysadzonej drzewami. Rzadziej zdarzają się ulice poprzeczne i równoległe. Przed domami ogródki. Wszędzie, gdzie się znajduje 15—20 domów musi być szkoła i dom modlitwy. Domy budowane z twardego materyału, częściej atoli z drzewa. Słomiane strzechy przeważają, lecz widać dość domów krytych blachą lub cegłą. W niektórych miejscowościach domy gęsto skupione, w innych pozostają w oddaleniu do siebie. Stoją bokiem do ulicy, frontem zaś ku podwórzu, zamkniętem stodołą. Stajnia znajduje się za domem mieszkalnym. W ogrodzie warzywnym piwnica, w pół z ziemi wystająca. Zagroda kolonisty w zachodnim Hohenbachu taka sama, jak we wschodnim Józefowie. W budowach wszędzie jednostajność. Jeden dom wygląda mniej więcej tak, jak drugi. We wnętrzu domu wchodzi się na prawo do „wielkiej izby“, przedzielonej ścianą na większy i mniejszy pokój. Pokoje te służą rodzinie osadnika jako jadalnia, bawialnia i sypialnia. Na drugiej stronie sieni, czasem bezpośrednio za pokojami mieszkalnemi, znajduje się spiżarnia. Przy niej jeszcze inna izba, służąca starym rodzicom jako mieszkanie, gdy się znajdują na wycugu. Z sieni idą schody na strych. Tu. t. j. w sieni mieści się kuchnia letnia, nad którą wznosi się otwarty komin. W zimie gotuje się w izbie mieszkalnej, jednak w nowszych domach istnieje osobna kuchnia zimowa“.

O życiu kolonij niemieckich na Podkarpaciu stryjskiem donosi mi osoba zaufana, Polak mieszkający w jednej z kolonij, ściśle przedmiotowo co następuje: „Największe osady w naszej okolicy są: Gelsendorf, Machliniec, Neu-Oleksice czyli Nowe Oleksice, Brigidau i Neudorf czyli Nowa wieś. Prócz tego istnieją całe kolonie na przedmieściach Stryja, Bolechowa, Doliny bez specyalnych nazw. Koloniści niemieccy mieszkają także nader licznie w przylegających do kolonij miejscowościach ruskich (oznacza to wyraźnie rozszerzanie się osadnictwa niemieckiego).. Młodzi koloniści uczęszczają do szkół, gdzie najczęściej kształcą się na pastorów i nauczycieli. Osiedli na roli koloniści trudnią się handlem bydła rogatego i koni, mniej rzemiosłami. Nie brak jednak w koloniach: krawców, szewców, kowali, cieślów, tkaczów, stolarzów, kołodziejów, tokarzy, młynarzy, masarzy i t. p. i to nawet dość wprawnych w swoim zawodzie. Rzemiosłami trudnią się po największej części wydziedziczeni młodsi bracia. Gospodarstwo bowiem przypada najstarszemu synowi lub także najstarszej córce. Koloniści niemieccy są dość inteligentni, zapobiegliwi i ruchliwi około gospodarstwa i handlu, nader konserwatywni i dla związków rodzinnych oddani z pełną miłością i pietyzmem. Dostają oni wiele książek, broszur a nawet rycin — przeważnie cesarzy i cesarzowych niemieckich i wybitniejszych osobistości niemieckich. Obraz niemieckiego cesarza i cesarzowej, Bismarka widnieje prawie w każdej niemieckiej chacie. Z gazet są najwięcej czytane *„Deutsche Volkszeitung“*, *„Schlesische Zeitung“* (znane hakatystyczne, duchem nienawiści przeciwko Polakom tchnące, w Berlinie względnie we Wrocławiu wychodzące dzienniki), z kościelnych *„Evangelisches Gemeindeblatt“* wydawany w Białej i *„Evangelische Kirchenzeitung“* wychodząca w Bielsku, jakoteż wiele innych czasopism. Koloniści używają między sobą wyłącznie języka niemieckiego, ze służbą i sąsiadami mówią po polsku i po rusku, często nawet dość biegle, chociaż zawsze z silnym akcentem niemieckim. Pastorzy i nauczyciele rekrutują się z seminaryów względnie wszechnic niemieckich zagranicznych, najczęściej z Wrocławia. W koloniach, niemieckich katolickich są nauczyciele wychodzący z krajowych seminaryów nauczycielskich, a także księża Polacy, władający językiem niemieckim. W koloniach niemieckich wogóle przeważa wyznanie ewangelickie, dzielące się na augsburskie i helweckie. Prócz tych wyznań są jeszcze licznie zastąpieni menonici. Ci mieszkają pojedynczemi rodzinami, odznaczają się szczególnym sprytem, uczciwością i oszczędnością. Głowa rodziny sprawuje wszelkie funkcye religijne, kościołów nie mają. Do parafii należy zwykle cały szereg osad. Na przykład do parafii Hartfeld koło Gródka wcielono jeszcze następujące gminy: Alt Jazow, Berdikau, Kleindorf, Kattenberg, Mosberg, Burczyce Nowe czyli Neu Burczyce, Neuhof, Neu-Kupniowitz, Rottenhau, Schumlau i Walddorf.

Sprawozdanie niniejsze podaje wykaz szkół ewangelickich wyznaniowych w Galicyi na 96, z dodatkiem iż wszystkie posiadają prawo publiczności. Liczba tych szkół podana przezemnie powyżej wynosi 99. Różnica pochodzi stąd, iż kilka szkół niema jeszcze prawa publiczności. Ponieważ wykaz mój pochodzi z r. 1903, przeto ze względu, iż w koloniach niemieckich wciąż powstają nowe szkoły, liczba ogólna tych szkół wynosi obecnie co najmniej sto kilkanaście. Istnieją atoli do tego jeszcze liczne szkoły katolickie niemieckie. Ważną okolicznością jest, iż niemieckie szkoły wyznaniowe, którymi w znacznej części kierują pastorzy i nauczyciele sprowadzani z zagranicznych Niemiec posiadają prawie wszystkie prawo publiczności, co znaczy, iż urzędownie są legalizowane wraz z duchem hakatystycznym, jaki się w nich objawia i nienawiścią zionie na zewnątrz.

Fritsche podkreśla w pismach swoich prawo publiczności, jakie posiadają szkoły wyznaniowe zborów ewangelickich w Galicyi. Dodaje on, iż prawo to osiągnęli ewangelicy względnie ich zbory wprost od „c. k. ministeryum“. Miałożby to znaczyć, iż pominięto przy tem krajową radę szkolną, do której zakresu przecież wszystkie szkoły ludowe, wydziałowe i średnie należą? Jeśli jednak krajowa rada szkolna rozstrzyga o prawie publiczności, trudno zrozumieć, jakim sposobem dzieje się, iż w szkołach tych główny język krajowy, mianowicie polski, jest pominięty i hakatystycznym nauczycielom, nawet z zagranicy sprowadzanym, wolno siać nienawiść w sercu dzieci przeciwko większości ludności kraju, jego przeszłości i dążnościom narodowym?

O niemieckich nauczycielach galicyjskich pisze Fritsche, iż dla niedostatecznej ich dotacyi daje się czuć brak sił nauczycielskich. Chociaż dobrze trzecia część uczniów uczęszczających do nauczycielskiego ewangelickiego seminaryum w Bielsku pochodzi z Galicyi, mimo to istnieje brak nauczycieli kwalifikowanych, gdyż Galicyanie uciekają równie z swego rodzinnego kraju. Tym sposobem dzieje się, że trzeba się uciekać do sił pomocniczych. Obecnie zajętych jest przy 5 szkołach miejskich 29 tęgich i zupełnie kwalifikowanych nauczycieli, natomiast przy szkołach wiejskich funkcyonuje 47 egzaminowanych, 44 nieegzaminowanych nauczycieli. Prócz tego istnieją jeszcze w całkiem małych koloniach jak np. w Siegenthal, Steinfels, Obersdorf, Preuzenthal, w Berdikau i Neuhof tak zwani nauczyciele zimowi, którzy od św. Marcina lub od Adwentu do Wielkiejnocy uczą dzieci czytać, pisać i rachować.

Fritsche maluje niemieckie szkolnictwo, które o wiele przewyższa nasze — niema bowiem jednej kolonii bez szkoły i większa część szkół zorganizowana wzorowo — umyślnie czarnemi barwami, gdyż chodzi mu o pozyskanie wydatniejszej pomocy pieniężnej na szkolnictwo od towarzystw wszechniemieckich. Z powyższego widać, iż niemiecka młodzież galicyjska przysposabiająca się do stanu nauczycielskiego bywa przepędzana przez alembik hakatystyczny w bielskiem seminaryum. Dlaczego powołane do tego czynniki nasze nie postarają o utworzenie w Galicyi seminaryum nauczycielskiego dla szkół ewangelickich galicyjskich? Jeśliby już nie starczyło środków na utworzenie osobnego takiego seminaryum, można przecież bardzo łatwo utworzyć oddział ewangelicki przy jednym z istniejących w kraju seminaryów i położyć raz już kres importowaniu hakatystów.

O nauczycielach powiada Fritsche, że są „duszą gminy, oni ją podtrzymują, oni wzmacniają ją w wierności dla wyznania i dla narodu“.

Z innej strony, z niemieckiej, otrzymuję nie mniej wiarogodne, na dokładnej znajomości stosunków miejscowych oparte sprawozdanie następującej treści:

„Mieszkańcy kolonij józefińskich pochodzą głównie z ziem saskich. Niemcy z starostwa stryjskiego, drohobyckiego i samborskiego są z okolic Frankfurtu nad Menem. Pozostali oni dotychczas bez przymieszki obcej krwi, gdyż żenią się wyłącznie tylko między sobą. We wszystkich koloniach, które znam, a znam ich sporo, nie istnieje ani jedno mieszane małżeństwo.

„Chrzest u naszych Niemców odbywa się dopiero 8 dnia po urodzeniu dziecka. Rodziców chrzestnych bywa po 2—10 par. Uroczystość chrzcin trwa tylko do wieczora dnia chrzestnego. Rodzice chrzestni nie troszczą się o swego pochrześniaka, nie dają mu też żadnego podarunku przy szczególnych sposobnościach, jak np. przy bierzmowaniu. Tylko w razie zupełnego osierocenia pochrześnika biorą go za własne dziecię. Weselne uroczystości nie trwają dłużej jak 24 godzin. Żałoby po zmarłych członkach rodziny nie noszą. Praźniki kościelne trwają zwyczajnie 2—3 dni. Przybywają na nie krewni i goście z bliższych i dalszych stron. Dawniej ustawiano drzewo praźnikowe, teraz przyozdabiają tylko kościół zewnątrz i wewnątrz choiną i kwiatami. Na uroczystość pieką się rozmaite pieczywa zwyczajowe. W zwykłe dni pracy mężczyzni pozostają w domu. Karczmę odwiedza się tylko w niedziele i w święta. Mężczyzni nie tylko tu piją, lecz także grają w karty. Młodzież wyprawia w karczmie pląsy. Odrębny strój ludowy tak dobrze jak zaginął. Tylko tu i ówdzie utrzymały się jego szczątki w stroju niewieścim. Kobiety noszą buty z cholewami. Język używany powszechnie jest niemiecki język piśmienny. Gwary idą w zapomnienie. Budowa domów różni się zupełnie od starej na modłę domów jakie pozostawiono w starej ojczyznie. Dziś bardzo rzadko zdarza się stajnia pod jedną strzechą z mieszkaniem, przedzielona tylko gumniskiem do młócenia. Nowsze domy budują się nawet głównym frontem do ulicy na sposób miejski. Z przodu znajduje się ogród z kwiatami, za domem dziedziniec okolony budynkami gospodarskimi. Przy domach znajdują się sady i ogrody warzywne. Na roli uprawiają wszelkiego rodzaju zboża, buraki, ziemniaki i paszę dla bydła. Przy gospodarstwie rolnem używają polepszonych przyborów i narzędzi, jako też maszyn do młócenia i czyszczenia zboża, jako też do przyrządzania mąki. Płótno tka się w domu rozmaitego rodzaju. Mleko przerabiają na masło i sery. Bydło rasy simentalskiej bardzo dobrze utrzymuje się. Wołami orzą i wożą.

„Przy uprzęży koni używają chomątów. Zajmują się też tu i ówdzie chowem koni, których dostarczają komisyom assenterunkowym. Liczba gospodarstw pozostała bez zmiany, gdyż całe gospodarstwo dziedziczy syn najstarszy. Młodsze rodzeństwo bywa spłacane w pieniądzach. Istnieje zatem rodzaj majoratów. Gdy dzieci dorosły i dojrzały, idą rodzice na wycug. Kościół, szkołę, probostwo i nauczyciela utrzymuje gmina. W szkole język wykładowy niemiecki. Domy mieszkalne posiadają wewnątrz rozmaite podziały. Zwyczajnie ma dom dwie izby, dwie kuchnie, spiżarnię i wielką sień. Domy z strzechami słomianemi, lecz mamy już dość pięknie murowanych, cegłą krytych. Pokój wielki prawie zawsze malowany. W naszych koloniach lubią czytać książki i czasopisma. Młodsza generacya odznacza się bardziej pogłębioną świadomością narodową. W niejednem sercu młodem gore silnie miłość wielkiej ojczyzny a w gło-

wie tkwi świadomość światowego znaczenia, jakie wielki naród niemiecki posiada. To wpaja szkoła w młodzieńcze umysły, a później czytanie książek i dzienników wykształca. Świadomość narodowa najlepiej rozwinięta w tych koloniach, gdzie równie gorliwie pracuje pastor jak nauczyciel w swoim zakresie działania. Niestety nie wszędzie panuje harmonia pomiędzy jednym a drugim. Między nami, Niemcami galicyjskimi, ujawniają się dwa przeciwne prądy. Jeden kolonizacyjny tj. dążący do wyprowadzenia osadników do Prus w celu ich osiedlenia na wschodnich kresach, drugi usiłujący ich zatrzymać w Galicyi. Zwolennicy pozostania w Galicyi widzą upadek niemczyzny w Galicyi wskazując, iż w niektórych zborach panuje wskutek tego niedostatek. Lecz to rzadkie są przykłady. Ja powiedziałbym, iż głównie oddajemy Prusom tylko naszą nadprodukcyę w ludziach, która rozpraszając się po Galicyi za zarobkiem wynaradawia się. Zresztą jeśli wychodzą do Prus niektórzy gospodarze wyprzedając swoją posiadłość, to ta zwykle dostaje się znowu w ręce niemieckie, gdyż chłopi ruscy jak u nas są wogóle biedni i nabywać tych gospodarstw nie mogą. W Prusach każdy Niemiec znajduje się na stanowisku narodowym i dobrze zasługuje się naszemu ogółowi. Temu prądowi są przeciwni pastorowie w własnym interesie. W miarę bowiem umniejszania się liczby wiernych, poruczonych w zborach ich pieczy duchownej, zmniejszają się także ich dochody. Występując przeciw działalności pruskiej komisyi kolonizacyjnej w Galicyi pastorowie działają *pro domo sua*, czego ostatecznie im nie można brać za złe, tem bardziej, że przez to wogóle nasza sprawa nie traci. Oni bowiem dla powstrzymania wychodźtwa do Prus podjęli głównie narodową niemiecką organizacyę w Galicyi, czego nam brakowało dotkliwie. Za wychodźtwem jest głównie nasze nauczycielstwo młodsze i niektórzy panowie w Biały i Bielsku. Ci stoją na koturnie wszechniemieckiej polityki większego stylu. Niezapominać jednak należy, iż jak polskie przysłowie powiada: „ziarnko do ziarnka a będzie miarka“. (D. n.).

Słowa a czyny.

Piękna to rzecz przyjaźń i braterstwo między narodami, ale nie słowa, lecz czyny winny stwarzać grunt realny dla takiego przymierza, tembardziej tam, gdzie jedna tylko strona czuje się pokrzywdzona i dla drugiej wcale nie trudno usunąć przyczyny zaostrzenia stosunków.

Mamy tu na myśli spór czesko-polski na Śląsku austryackim, który właściwie nie jest wcale sporem, lecz bezwzględnem wyzyskiwaniem przez Czechów swej przewagi nad nami w tej starej dzielnicy piastowskiej.

W każdym narodzie są jednostki szlachetnie myślące i ożywione najlepszymi chęciami, pragnące szczerze tryumfu zasad słuszności i sprawiedliwości na świecie. I wśród Czechów posiadamy szczerych przyjaciół, takich jak pp. Howorka, Czerny i t. p. ale głosy ich, nawołujące do zgody i mowy różnych przedstawicieli narodu czeskiego, wygłaszane pod wpływem podniecającego świątecznego nastroju, nie powinny głuszyć w nas przeświadczenia o konieczności bronienia naszych interesów zawsze i wszędzie, gdzie tego wymaga potrzeba.

Oszołomieni wylewami krasomówstwa, nie powinniśmy zamykać oczu choć przez czas krótki na rzeczywistość, a uszu na skargi naszych najbliższych, bo rodzonych braci.

Smutnem odbiły się echem uroczystości warszawskie w Cieszyńskiem. Tam nic zmianie nie uległo, tam nawet podczas dni czesko-polskich w Warszawie nie przestała wrzeć walka z Czechami, z hakatą czeską o szkoły polskie.

Oto jakie dochodzą nas znowu stamtąd wieści:

W tym samym tygodniu, w którym Czesi gościli w Krakowie i Warszawie, w Polskiej Ostrawie i okolicy biegali nauczyciele czescy po wszystkich koloniach robotniczych i „kupowali“ dzieci polskie do szkół czeskich. W tym samym tygodniu, gdy Polacy tamtejsi chcieli wynająć lokal pod szkołę polską prywatną w Radwanicach, odmówiono im tego mimo ofiarowania podwójnego czynszu, gdyż Czesi zmówili się, aby lokalu nie wynajmować Polakom i przez to nie dopuścić do założenia przez nich szkoły. Prasa czeska na Śląsku austryackim zajmuje wobec Polaków wogóle, a szczególnie miejscowych, stanowisko zdecydowanie wrogie. Codzień powtarzają się napaści na polskość w takich organach, jak: „Dennik Ostravski“, „Ostravski Kraj“, „Ostravan“, „Ostravskie Listy“. „Duch Czasu“, „Lidove Nowiny“, „Ruch“, „Nowiny Tesinskie“ i innych. Za głosami prasy idą i czyny. Czecho-Morawianie czynnie zwalczają i osłabiają polskość gdzie tylko mogą, nawet na spółkę z Niemcami.

Ciekawy charakterystyczny artykuł, pt. „Polaci“ pomieścił z powodu i podczas wycieczki czeskiej do Poski berneński „Ruch“, organ „Osvety Lidovej“, tygodnik, popierany przez wszystkie narodowe stronnictwa czeskie na Morawach. Organ ten rozrzuca bezpłatnie tysiące egzemplarzy w Ostrawskiem (Polska Ostrawa, Michałkowice, Radwanice itd.) pomiędzy górnikami polskimi, aby polskość wśród nich poniżyć i ośmieszyć, gdyż podobne artykuły drukuje bardzo często i podkopuje planowo w nich przywiązanie polskiego ludu do wszystkiego, co polskie.

Oto, co między innemi pisze o Polakach jakiś anonimowy publicysta:

„W Polsce rosyjskiej jest wiele kolonii niemieckich, lecz i czeskich jest spora ilość. Są to potomkowie wygnańców pobiałogórskich, Braci czeskich, najszlachetniejszej odrośli narodu czeskiego. Zarówno kolonie niemieckie, jak i czeskie położone są osobno i zdala od wsi polskich. Kolonie czeskie i niemieckie wyróżniają się swym estetycznym wyglądem zewnętrznym, szczególną czystością i widoczną zamożnością. Domki ładne, wybielone lub malowane, okna zdobne firankami, podwórza czyściutkie, ogrodzone dobrym płotem, zagrody utrzymane starannie.

„Zupełnie naodwrót u Polaków. Mieszkania nie zamiecione, szyby cudacznie połatane papierem, lub powybijane, podwórza nieogrodzone, lub ze zrujnowanem ogrodzeniem, płotów brak, zagrody w stanie zupełnego zaniedbania. Jest to ogólne prawidło, choć zdarzają się wyjątki. Podobnie rzecz się ma z polem i całem gospodarstwem. Wieśniak polski chodzi brudny i obdarty i najdroższy czas marnuje w szynku. O kościół jeszcze i o szynk dba największej, reszta niewiele go obchodzi.

„Nie lepiej bywa i z szlachcicami. Obywatel ziemski bawi się z damulkami w Paryżu, a w domu majątek idzie pod młotek. Przyjdą koloniści czescy lub niemieccy, majątek kupią, rozparcelują pomiędzy siebie i pozakładają kwitnące kolonie, z których czerpie dostatnie utrzymanie ze trzydzieści rodzin. Szlachcic przepija resztki swego mienia i albo idzie się powiesić, albo na miejsce fagasa do hotelu.

„Polak chłop nienawidzi Czecha tak samo jak i Niemca. Nie gra tu głównej roli narodowość, lecz względy gospodarcze. Czech i Niemiec żyje dobrze, dostatnio, Polak zaś musi przy nich zarabiać. Księża podjudzają lud przeciwko Czechom, jako husytom, kacerzom, przeciwko Niemcom zaś, jako luteranom. Nie powiedzą biednemu ludowi, że własnem niedbalstwem i pijaństwem gotuje sobie nędzę, lecz twierdzą, że temu wszystkiemu są winni obcy przybysze, kacerze. Kacerzom dlatego dobrze się dzieje, że służą dyabłu, pobożnym Polakom dzieje się źle, bo znoszą wśród siebie kacerzy...

„Smutny to fakt, że tak, jak u nas politycy polscy lgną najbardziej do biurokratów niemieckich, tak znowu w Rosyi lud polski lgnie najbardziej ku swym żydom polskim. A ma już z nimi wiele cech wspólnych. Żyd się dużo modli i dużo kradnie — jak wielu Polaków, którzy również modlą się długo, a przed nimi czeski i niemiecki kolonista masi swe dobro zamykać na dwa spusty“.

Przyjacielski ten głos kończy się uwagą, że jeśli Polacy będą wojowali z Niemcami płonnemi frazesami i powoływaniem się na sławy narodowe, to niewiele im to pomoże.

Ileż przesady, fałszu, przewrotnego uogólniania i oświetlania faktów mieści się w tym artykule, w którym — trzeba przyznać — ziarnka gorzkiej prawdy pływają w obfitym sosie niechęci i wzgardliwego lekceważenia! Ale cel to swój osięga, poniżając i zohydzając polskość wobec ludu polskiego, narażonego i bez tego na silne wpływy czechizacyi.

Charaterystyczne jest także ciągłe zestawianie kolonistów czeskich z niemieckimi w tym głosie przyjacielskim.

Czcze frazesy nie wpłyną na zmianę stanu rzeczy. Pięknym słowom, wypowiadanym w Krakowie, Częstochowie i Warszawie niech towarzyszą czyny. Kto się czuje bratem i głośno o tem rozprawia, niech postępuje po bratersku. Ładny to brat, co czyha na moje mienie. Neosłowiańskiemi bałamuctwami nie dajmy się sprowadzić z drogi energicznej obrony interesów narodowych i udzielania możliwej pomocy i poparcia naszym braciom rodzonym, walczącym z hakatą czeską i niemiecką w Cieszyńskiem

O „Straży Polskiej“.

Świat warszawski w Nrze 30. pod tytułem „Najogólniejsze zadania“ przynosi artykuł o „Straży Polskiej“.

Podajemy go w dosłownem brzmieniu:

„Ostatnie gwałty pruskie — pisze autor — godzące w same podstawy naszego bytu, zrodziły w Krakowie myśl stworzenia szerokiej organizacyi, którąby w zakres swój wcieliła najogólniejsze zadania narodowe i do życia narodowego starała się wprowadzić żywsze niż dotychczas tętno. Przed rokiem zrealizowano tę myśl, zakładając „Straż Polską“.

Jeden z twórców jej, znany publicysta, Kazimierz Bartoszewicz, określił wówczas rolę nowej organizacyi wobec innych, już istniejących, następującemi słowy:

— Będziemy stać zdala od walk partyjnych, i to jest nasze niezłomne postanowienie. Chcemy do wspólnej pracy powołać wszystkich, bez różnicy przekonań. Niech członkowie nasi na arenie życia publicznego będą czem chcą, niech wyznają jakie chcą zasady, niech wierzą jakim chcą hasłom, niech walczą w jakim chcą obozie, w „Straży“ jednak niech idą razem pod jednym sztandarem, na którym wypisujemy: Za ziemię i prawa nasze! Poza „Strażą“ niech walczą o dobro cząstek, w „Straży“ niech walczą o zachowanie całości.

Była to zatem jedna z najcięższych prób, jakie się dadzą w Polsce pomyśleć. Aby się módz na jakimś wspólnym terenie pracy zejść z ludźmi inaczej myślącymi, trzeba wszak uznać ich dobrą wolę i czystość intencyi, to znaczy: zdobyć się na cnotę, ze wszystkich najbardziej naturze polskiej przeciwną. Idea „Straży“ wydawała się mrzonką. Minął przecież rok i okazało się, że ciosy, bijące w naród, przetwarzają zwolna jego charakter w najistotniejszych rysach. „Straż Polska“ przyjęła się. Potrzebę jej uznali wszyscy, od najbardziej lewych do najbardziej prawych, i chętnego użyczyli jej poparcia.

Zrozumiano, że obok licznych działających w kraju stowarzyszeń, związków, instytucyi, które pracują na różnych polach i w różnych kierunkach, jest jeszcze miejsce na organizacyę, którąby obejmowała sprawy wspólne wszystkim i dlatego często przez nikogo nie zastąpione, którąby ogarniała całość życia narodowego i na potrzeby tego życia patrzała z pewnej wyżyny, wzrokiem wolnym od pryzmatu doktryn politycznych, społecznych i religijnych, wpatrzonych w istotne, podstawowe prawa narodowego istnienia.

Czyżby rząd moralny?

Usłyszymy w odpowiedzi:

— „Straż Polska“ nie żywi zarozumiałej ambicyi, aby stanąć na czele usiłowań narodowych. O wiele skromniejszą przypisuje sobie rolę. Ambicyą jej jest zwracać uwagę na grożące skądkolwiek niebezpieczeństwa, pomnażać szeregi walczących w narodowej sprawie przez wciąganie do walki żywiołów dotychczas obojętnych, przyczyniać się w miarę sił do skutecznej obrony duchowych i materyalnych dóbr narodu.

Ta „skromna“ rola jest mimo to przecież bardzo doniosłą. Odpowiednio do tego szeroką jest podstawa programowa, na jakiej „Straż“ oparła swoją działalność. Być może, że za szeroką i że w dalszym ciągu przyjdzie ją zwęzić w interesie pogłębienia pracy. Organizacya istnieje rok dopiero, a ponieważ wystąpiła na widownię jako koncepcya, praktycznie przynajmniej zupełnie nowa, więc czas ten musiał być z natury rzeczy okresem próby sił, okresem doświadczeń, okresem porządkowania tłoczących się zewsząd zadań.

Wystarczy przejrzeć pobieżnie sprawozdanie zeszłoroczne „Straży“, świeżo ogłoszone, aby przekonać się, jak rozległą i urozmaiconą była dziedzina jej działalności.

Na czterdziestu wiecach, urządzonych w Krakowie, w licznych miasteczkach i po wsiach, poruszono i popularyzowano szereg bieżących zagadnień życia narodowego. Zdążyła „Straż“ wyrobić sobie już kilku tęgich mówców ludowych, którzy, krążąc po zapadłej prowincyi, docierają z żywem słowem często tam, dokąd niema przystępu nawet popularna gazetka. Wśród prac organicznych wysunęła się na czoło akcya dla poparcia polskiej

wytwórczości przemysłowej, a wyrugowania wyrobów niemieckich. Akcya, w której wzięli udział ludzie bardzo poważni, prowadzona była energicznie i roztropnie, i dała już pewne rezultaty, wśród których nawet tak pozytywne, jak założenie paru małych zakładów przemysłowych.

Poza tem gorączkowa działalność „Straży“ objęła całą moc innych zadań. Obok walki z niemczyzną, opieka nad wychodztwem i kolonizacyą, obok organizowania wycieczek do Warszawy, ścigania sensacyjno-ogłupiającej literatury zeszytowej pruskiego pochodzenia, kolportowanej po Galicyi całymi wagonami, obok propagandy czystości języka polskiego, opieka nad młodzieżą, przybywającą do Krakowa dla zwiedzenia pamiątek i t. d. i t. d. Wśród tych różnorodnych czynności wydawała „Straż“ własny organ, który pod znakomitą redakcyą Kazimierza Bartoszewicza, wyrobił sobie już dużą pozytywność.

Rzecz prosta, że rozliczne te zadania nie mogły być spełniane z jednakową dokładnością; niejedno z nich będzie musiało może odpaść zupełnie, aby innym zapewnić tem lepszy skutek. Bardzo obszerny program „Straży“ wymagałby wprost olbrzymiego zastępu ludzi, a to może być rzeczą dopiero dalszej przyszłości. Tymczasem jednak instytucya dowiodła już swej żywotności, co rzecz najważniejsza. Przyrzeczenia, iż czystego sztandaru swych haseł nie zbrudzi w walce stronniczej, dotrzymała i tem zdobyła sobie zaufanie ogółu. Przy pewnej chaotyczności i przeładowaniu rozwinęła jednak czynność pożyteczną i przekonała, iż tego rodzaju instytucya pozapartyjna, dla wielu ludzi, chcących i mogących pracować publicznie, wprost niezbędna, ma u nas do spełnienia misyę istotnie poważną.

W ciągu roku skupiło się około „Straży“ przeszło 2000 osób, które znajdują w niej dla siebie dogodne warunki pracy, gdyż organizacya podzielona na szereg autonomicznych sekcyi, dostarcza każdemu pola do swobodnego zużytkowania swych sił, zależnie od skłonności i specyalnych uzdolnień. Roztropną bardzo zasadą „Straży“ jest daleko idąca decentralizacya; jednostkę organizacyjną stanowi „koło“, w którem członkowie grupują się podług wieku, płci, i t. d. W Krakowie powstały już 3 „koła“, poza Krakowem 12. Jaką siłę przyciągającą wykazuje działalność „Straży“, podjęta pod hasłem bezpartyjności i wspólnych interesów całego społeczeństwa, dowodzi między innemi fakt, iż w łamach organu stowarzyszenia spotkały się z sobą imiona: Konopnickiej i Tarnowskiego, entuzyastki postępu i skrajnego konserwatysty, a prasa krakowska wszystkich odcieni, nie wyjmując społecznie najczerwieńszej, zaznacza wobec „Straży“ swą, zresztą w stopniu nie jednakową, życzliwość.

Fenomen to nieznany prawie w naszem życiu, rozbitem na tysiąc obozów i koteryi.

I kto wie, czy ze wszystkich rezultatów, jakie uda się „Straży“ osiągnąć, najważniejszem nie będzie ten, że oswoi ona ludzi z myślą, iż, nie sprzeniewierzając się swym przekonaniom, nie tracąc nic ze swej duchowej odrębności, mogą przecież wszyscy, dla pewnych wspólnych spraw, stanąć przy wspólnym publicznym warsztacie. *Ch.*

Cudze chwalicie, swego nie znacie...

Dziwne sprzeczności spotkać możemy na łamach pism warszawskich. Na jednej stronicy znajdujemy wojowniczy artykuł o „badach“ zagranicznych, do których powinni chorzy jeździć w takim tylko wypadku, jeśli niema odpowiednich wód swojskich, na drugiej zaś stronie w informacyach dla młodzieży znajdujemy cały szereg uczelni zagranicznych, do których Redakcya radzi udawać się na studya.

Młodzież z Królestwa przekonana jest, iż po naukę należy jechać do Paryża, Berlina, Heidelbergu, do Zurychu i że nauka polska jest kopciuszkiem w porównaniu z niemieckiemi kuźnicami wiedzy.

Geneza tego pesymizmu łatwo jest zrozumiała. O powieściopisarzach polskich, o poetach, malarzach i muzykach ogół nasz wykształcony, a więc i młodzież, dokładnie jest poinformowany, (ba! nawet zawiele dowiaduje się o geniuszach „jednorocznych“!) nauka zaś, a zwłaszcza wiedza ścisła nie łatwo przenika do szerszych warstw społeczeństwa. To ostatnie nie wie nieraz wcale o najznakomitszych uczonych współczesnych polskich, nie ma sposobności dowiedzenia się o ich pracach naukowych, odkryciach, o głębokiej czci, jakiej doznają oni ze strony uczonych zagranicznych. Ogół nie ma dostępu do najważniejszych twórczych warsztatów naukowych, do laboratoryów i instytutów uniwersyteckich, nie ma też najmniejszego pojęcia o tem, czy i co się w nich robi; wrodzony zaś brak zaufania do wszystkiego, co swojskie, mimowoli nasuwa mu myśl, że zapewne w laboratoryach niemieckich lepiej się pracuje, niż u nas. Lecz czy ogół nasz wie, naprzykład, cokolwiek bądź o instytucie anatomicznym krakowskim, z którego dziesiątki świetnych prac naukowych rokrocznie niemal wychodzą, ogłaszane w czasopismach zagranicznych; czy ogół nasz ma pojęcie o tem, jaką sławą europejską cieszą się prace instytutu fizyologii roślin i rolnictwa w Krakowie, jak znakomite wychodzą stamtąd prace nad oddychaniem roślin, asymilacyą, odżywianiem się; czy ogół nasz wie, czem są instytuty chemiczny i fizyczny krakowski, jak wielką one mają kartę w dziejach wiedzy, np. w historyi skroplenia gazów? A jak znakomite publikacye ogłasza instytut mineralogiczny krakowski!

Rok rocznie wszechnica krakowska produkuje niezliczoną ilość prac naukowych pierwszorzędnej doniosłości, laboratorya przyrodnicze tętnią tam pełnią życia i wzbogacają naukę wszechświatową dorobkami nie mniejszej doniosłości, niż te, co wychodzą z laboratoryów najsłynniejszych uniwersytetów niemieckich, francuskich lub angielskich.

A instytuty lekarskie krakowskie! Takie n. p. laboratoryum chemii fizyologicznej, gdzie epokowe dokonywają się prace nad chemią chlorofilu lub instytut fizyologiczny, który tak bardzo poważną zajął kartę w historyi nauki europejskiej!

A cóż wie ogół polski o wszechnicy lwowskiej? Czy ma on o tem pojęcie, że np. technika preparacyjna instytutu anatomicznego tej wszechnicy stoi bezwątpienia wyżej, niż we wszystkich instytucyach anatomicznych całego świata, że misterne preparaty tego zakładu stanowią niedościgniony niemal ideał dla anatomów obcych? Czy ma nasz ogół wykształcony najlżejsze choćby pojęcie o tem, ile rozpraw pierwszorzędnej wartości naukowej wyszło z lwowskiego instytutu chemicznego, lub z lwowskiego instytutu zoologicznego, jak doniosłym jest dorobek naukowy tych laboratoryów, czy wie on n. p. o tem, jak bardzo czynnemi pod względem naukowym są pracownie fizyki matematycznej, geologii, filozofii, chemii lekarskiej, farmakologii i t. d., z których każda rok rocznie tyle doniosłych rozpraw naukowych w świat wysyła?

Weźmy do rąk roczniki „Archiwum“ lub „Zeitschriftów“ naukowych niemieckich, francuskich lub angielskich, a znajdziemy tam dziesiątki nazwisk naszych uczonych lub młodych adeptów naszej nauki. Nauka polska zajmuje dziś piękną i zaszczytną kartę, liczy znakomitych uczonych we wszystkich niemal gałęziach wiedzy, a ogół nasz tak mało wie o tem.

Szczegóły o postępach nauki polskiej przytoczyliśmy za prof. dr. Józefem Nusbaumem, z artykułu w *Słowie Polskiem* (autor nawiasem mówiąc, wspomina o najbliższej mu tylko dziedzinie nauki, pomijając historyę, prawo, nauki społeczne i t. d.), a widać z nich, iż nie pozostajemy w tyle za Zachodem, lecz w pochodzie naukowym kroczymy w pierwszym szeregu. Czyż więc młodzież polska nie powinna być kierowana do polskich wszechnic, a nie do źródeł naukowych, nie większej wartości od naszych, a zatrutych jadem nienawiści lub przynajmniej obojętności dla spraw naszych.

—y.

Uwagi.

Umieszczając artykuł prof. Balickiego p. t. Co to ma znaczyć? stwierdzamy tem, rzecz prosta, że podzielamy w zupełności jego zapatrywania. Również jak on główną odpowiedzialność składamy na redakcyę Pracy, a nie na autora korespondencyi, który prawdopodobnie ani się domyślał, że pisze pour le roi de Prusse.

Jestto zapewne młodzieniec, czego dowodzą jego wzmianki o szkołach i uniwersytecie, oraz narzekania na „okropne egzaminy“. Młodzi zaś zazwyczaj (z pewnymi naturalnie wyjątkami) potępiają wszystko w czambuł, co się przed nimi ukazało na świecie. Są to skrajni reformatorzy, którym się nic nie podoba, nawet to, co piękne i rozumne. Życie ich uspokaja, czasem nawet do tego stopnia, że bardzo prędko stają się skrajnymi konserwatystami, którym się znowu wszystko podoba, nawet to co brzydkie i głupie.

Należy też uwzględnić, że najwięcej buntujemy się wówczas, kiedy nas spotka zawód, kiedy to, cośmy sobie w idealnych kształtach wyobrażali, nie odpowiada w zupełności oczekiwaniu. Iluż to ludzi rozczarowała Wenecya jedynie dlatego, że o jej cudach nabrali z czytania przesadzonego wyobrażenia.

Ów pan K. jechał prawdopodobnie do Krakowa z przekonaniem, że w Galicyi „Niemca i na lekarstwo nie dostanie“, że nie spotka się w niej z językiem niemieckim, że Polacy galicyjscy są „panami u siebie“, że z piekła niemieckiego dostanie się do polskiego raju. Nie zastał tego, nie rozejrzał się jeszcze dobrze, nie miał czasu na zastanowienie, na sąd bezstronny, na poznanie warunków, w jakich żyjemy, a więc wszystko go razi, gniewa, a więc — Wenecya jest obrzydliwa. Wychowany w szkołach niemieckich, dobrze zatem władający językiem niemieckim, dochodzi nawet do takiego absurdu, że zarzuca uczniom szkół polskich lichą niemczyznę. Można to zło zapewne usunąć przez wprowadzenie do szkół galicyjskich języka niemieckiego jako wykładowego. Czyżby tego pan K. sobie życzył?

Przechodziła podobne rozczarowania i młodzież przybyła do Krakowa z zaboru rosyjskiego. Będąc pod knutem, pod uciskiem, wyobrażała sobie, że w Galicyi panuje wolność nieograniczona. I zamiast się cieszyć, że knuta już nie czuje, że korzysta ze swobód konstytucyjnych, że uczy się po polsku, zaczęła wielkim głosem narzekać na galicyjską niewolę i chciała rozrywać jej pęta. Wstrętna jest Wenecya!

Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy zachwycali się galicyjskimi stosunkami. Sami wiemy dobrze, jak nam wiele brakuje, sami czynimy sobie wyrzuty, że nie dość energicznie upominamy się o swoje prawa. Sami czujemy nasze braki i niedomagania i chyba nikt nie zaprzeczy, że się do nich przyznajemy, że ohłoszczemy nasze wady. Ale niech darują młodzi wielkopolanie, że wolimy naszą marną konstytucyę niż wspaniałą konstytucyę pruską, stanowiącą wyjątkowe dla Polaków prawa, niech darują i młodzi królewiacy, że przekładamy naszą niewolę nad wolność panującą w zaborze rosyjskim.

Redakcya „Pracy“ nie znajdzie dla siebie usprawiedliwienia. Chyba ją to pocieszy, że nie ona pierwsza i ostatnia działa tak szlachetnie dla jedności narodowej, dla zbliżenia dzielnic do siebie. Niedawno w „Świecie“ warszawskim czytaliśmy ohydny paszkwil na Wielkopolskę, pisany nadto nie przez nierozważnego młodzieńca, ale przez bardzo głośnego autora. A czego to się nie pisze w pismach galicyjskich o Królestwie — niejeden „istinno-ruski“ aż zaciera ręce z radości. Paszkwil walczy o pierwszeństwo z nonsensem. (Przypomnimy choćby ów nonsens, dopiero co w wielce poważnym organie wydrukowany, że dziennikarstwo warszawskie zrodziło hakatystów w Królestwie).

Jesteśmy niestety przyzwyczajeni do tych oznak... miłości, do tej zacnej pracy nad wzmocnieniem granicznych słupów. Jeżeli zaś wraz z prof. Balickim zwróciliśmy szczególniejszą uwagę na „Osobliwości galicyjskie“ pomieszczone w „Pracy“ poznańskiej, to czynimy to dlatego (co już zaznaczył p. B), że pismo to szeroko się rozchodzi wśród ludu wielkopolskiego, to jest wśród sfer, które wierzą słowu drukowanemu i nie posiadają tyle wiadomości i znajomości stosunków, aby rozróżniły kłamstwo od prawdy. W oczach tego ludu zohydzać całą Galicyę, drwić z owego „miłego kraju“ wołać „Boże uchowaj! od dłuższego w nim przebywania“ to wielkie wykroczenie przeciw idei narodowej.

Przed miesiącem zburzono w Krakowie „Basztę Kościuszkowską“. Była to brama wjazdowa do pałacu Wodzickich, zbudowana w kształcie baszty, z pokojem nadbramnym, do którego przywiązana była tradycya, że Kościuszko spędził w nim noc z 23. na 24. kwietnia 1794 roku, to jest noc poprzedzającą wielki dzień w dziejach naszego narodu i w życiu bohatera Racławic, dzień jego przysięgi na Rynku krakowskim.

Basztę tę szanowali poprzedni właściciele (Konopkowie, Götzowie). Pałac zburzono, ogród rozparcelowano i zabudowano, a baszta stała otoczona pietyzmem mieszkańców Krakowa. Uważano ją nietylko za szczególną pamiątkę, ale za „zabytek architektoniczny, jeden z nielicznych już dokumentów prostego i szlachetnego typu budownictwa XVIII. wieku, wreszcie jako niezwykle piękne zamknięcie perspektywy ulicy św. Anny“.

Kiedy jednak właścicielem sąsiednich kamienic, baszty i kawałka zostawionego placyku został ku-

piec kolonialny, radca miejski i poseł m. Krakowa do Sejmu p. Jan Kanty Federowicz, baszta skazaną została na rozebranie. Nie pomogły protesty konserwatorów, „Tow. miłośników Krakowa“ i innych stowarzyszeń artystycznych i kulturalnych (ich to orzeczenie podaliśmy powyżej w cudzysłowie) — p. Federowicz był niewzruszony. Wreszcie „Związek Towarzystw kulturalnych“ udał się do p. Götza, dawnego właściciela, z prośbą, aby odkupił basztę i kawałek przylegającego do niej gruntu. Pan Götz, „nowy“ Polak (nie piszemy tego ironicznie), syn Niemca, gotów był ponieść ofiarę pieniężną, ale „stary“ Polak, patrycyusz krakowski, poseł Federowicz postawił cenę nie do przyjęcia. I padła baszta na rzecz spekulacyi.

Opinia była oburzoną, ale się uspokoiła. Do uspokojenia jej przyczynił się pan Włodzimierz Tetmajer, znany malarz, który w przeddzień zburzenia baszty oświadczył w jednym z dzienników krótko i węzłowato, że baszta nie posiada żadnej wartości artystycznej, że Kościuszko w niej nie mieszkał, że nawet nie przechodził przez nią udając się na Rynek dla złożenia przysięgi. To kategoryczne oświadczenie p. Tetmajera zrobiło wyłom w poglądach niektórych dziennikarzy i humorystów, którzy teraz sobie drwią z baszty i jej obrońców.

O artystyczną wartość baszty sporu prowadzić nie będziemy — *de gustibus non est disputandum*. Po stronie zresztą uznającej wartość baszty, stoi Akademia Sztuk Pięknych, konserwatorzy, Muzeum Narodowe, Tow. przyjaciół Sztuk Pięknych, Tow. artystów Sztuka, Tow. „Polska sztuka stosowana“ i t. d. — po drugiej sam p. Tetmajer. Ale skąd p. Tetmajer wie tak na pewno, że w baszcie nie mieszkał Kościuszko i że z pałacu Wodzickich szedł na Rynek prosto z kościoła OO. Kapucynów.

Zajrzyjmy do największego i najpoważniejszego życiorysu Kościuszki. Oto co pisze Korzon, znakomity historyk, a Kościuszki biograf najwybitniejszy:

„Kościuszko (po przybyciu do Krakowa 23. marca) ukrył się w pałacu jen. Wodzickiego przy Kapucynach, za Szewską niegdyś fortką, obecnie rozebraną. Pozostała tylko pamiątkowa brama w kształcie baszty wprost ulicy św. Anny z pokojem, który służył za sypialnię przybyszowi w nocy z dnia 23. na 24. marca.... Z bramy Wodzickiego wyszedł Kościuszko z swym orszakiem“

Tak pisze historyk. Komu więc raczej należy wierzyć; czy historykowi Korzonowi czy historykowi Tetmajerowi?

Przypuśćmy (rzecz prosta, na żarty tylko), że obaj ci historycy jednakowo zasługują na wiarę. Rozstrzygnąć więc musi tradycya.

Otóż owa tradycya przywiązana do baszty, nie przyszła na świat w ostatnich latach.

W r. 1871 Józef Łepkowski, znany archeolog, znakomity znawca pamiątek Krakowa, pokazywał piszącemu te słowa ową basztę mówiąc, że nocował w niej Kościuszko Łepkowski miał wówczas lat 50, więc sięgał pamięcią (nie już młodzieńca, lecz człowieka dorosłego) co najmniej do r. 1840, a wówczas żyły jeszcze w Krakowie setki ludzi, pamiętających szczegółowo Kościuszkowskie czasy.

W r. 1875 mieszkał w tym pokoiku nadbramnym Michał Bałucki. Była to kronika żyjąca Krakowa, — był to człowiek, który znał każdy kamień krakowski. I on mówił to samo co Łepkowski — a i on sięgał pamięcią do czasów, kiedy jeszcze żyli tacy, co znali Kościuszkę

Jak więc nazwać gołosłowne zaprzeczenie p. Tetmajera?

Co zaś do jego twierdzenia, że Kościuszko nie przechodził przez basztę, udając się na Rynek, to na „widzimisię“ p. Tetmajera jest dokument historyczny, za jaki musimy uważać współczesny, pisany w r. 1794 pamiętnik Lichockiego, prezydenta Krakowa. Opisuje on najdokładniej, jak był wezwany do Kościuszki i jak Kościuszko z jen. Wodzickim i „asystencyą“ szedł trzy kroki za nim z pałacu Wodzickiego na Rynek krakowski. A chyba nie można przypuścić, aby ten pochód, zamiast iść prostą i najbliższą drogą przez główną bramę, wychodził jakąś tylną furtką w przeciwnej stronie leżącą, służącą jedynie dla komunikacyi z kościołem OO Kapucynów.

Lepiej byłoby dla pana Tetmajera, aby nie bawił się w historyka, a dla niektórych dziennikarzy, aby w sprawach historycznych nie opierali się na zdaniu malarza.

Ale to baszty już nie uratuje. Pozostało po niej tylko „ubolewanie“ Związku instytucyj artystyczno-kulturalnych (część ich powyżej wyliczyliśmy), że „akcya podjęta celem zachowania zabytku nie doprowadziła do pomyślnego rezultatu“.

Półtora roku temu rozpoczął się istny najazd Scherlocków Holmesów, Nick Carterów, Buffallo-Billów na wszystkie nasze trzy dzielnice.

Ogłupiającą tę tandetę, pisaną strasznym polskim językiem wydawali jednocześnie w Warszawie Jan Fischer, w Łodzi prusak Zonner, Maniszewski we Lwowie i jakiś hakatysta w Katowicach.

Zdumiewać mogło zaiste, że wszyscy ci mecenasi literatury wpadli na tę samą myśl i to w jednym czasie, co więcej, że wszystkie wydawnictwa były zeszytowe, w jednakowy niesmaczny sposób reklamowane i posiadały na okładkach jednakie ryciny kolorowe.

Sekret tego podobieństwa tkwił w tem, że kolebka wydawnictwa była w Berlinie Inicyatorem tej tandety była firma „Hauschild-Ahrens“. Ona udzielała prawa przekładu, ona dostarczała wydawcom okładek.

Ale widocznie przy jednym stole czterech wydawców pożywić się nie mogło Więc firma berlińska sama na swą rękę zaczęła dbać o dostarczanie wszystkim trzem zaborom „pożytecznej lektury“.

Na Galicyę agentem jej został p. Kafka, księgarz kolejowy. Później Hauschild i Ahrens założyli przy ulicy św. Marka własny skład swego wydawnictwa; na czele jego stanął p. Kornblum recte Wohlgesang, ekskolporter kasarniany.

Skład ten istniał bez żadnej koncesyi, więc magistrat zamknął go na żądanie interesowanych.

Tymczasem wskutek parcia opinii („Straż Polska“ pierwsza głos podniosła w tej sprawie) księgarze polscy postanowili bojkotować Sherlocka Holmesa i jego towarzyszy. Był to cios, który ubezwładnił na razie oświatową akcyę pp. Hauschilda i Ahrensa.

Wówczas wystąpił w szranki nowy rycerz za świętą sprawą: p. Aleksander Ripper, właściciel drukarni w Krakowie.

Pan ten prowadzi dwa zeszytowe wydawnictwa: jedno dla młodzieży p. t. Tekass (cena zeszytu 20 h.), a drugie Holmesowe, dla obu płci wszelkiego wieku stanu, i gatunku (cena zeszytu 30 h.).

Ponieważ jednak księgarze w sprzedaży pośredniczyć nie chcą, a tylko im książki ustawa sprzedawać pozwala, przeto szanowny wydawca wpadł na pomysł „uszanowania“ ustawy w ten sposób, że ogłosił swe wydawnictwa jako pisma peryodyczne. Stąd też zeszyty tej tandety noszą nazwę tygodników, ukazują się w każdą sobotę i sprzedają się w trafikach i składach papieru w całej Galicyi.

Zupełnie w podobny sposób postąpiła sobie firma Derflingera i Fischera we Wiedniu — ale tam władze podejść się nie dały i w całej niższej Austryi zabroniły sprzedawać Holmesów i Billów poza księgarniami.

Ostatniemi czasy wyszło też na jaw w jaki sposób firma berlińska „Hauschild i Aurens“ starała się zatrzeć w Królestwie Polskiem pochodzenie swego wydawnictwa. Oto na okładce umieszczała jedną z firm księgarskich krakowskich (naturalnie bez jej wiedzy), a za miejsce druku podawała Warszawę, wymieniając drukarnię Lepperta. Odkryto to przypadkowo i obecnie toczy się w Berlinie proces o oszustwo.

Ażeby dać miarę na jak wielką skalę prowadzono wydawnictwo, dość powiedzieć, że pierwszych jego sześć zeszytów dostarczono cenzurze warszawskiej 145,000 egzemplarzy.

Tak wyglądają przygody prawdziwe Sherlocka Holmesa i jego towarzyszy.

Dzienniki amerykańskie wysyłały swym kosztem wyprawy w celu odkrycia bieguna północnego. Nasze dziennikarstwo jest zbyt ubogie, aby mogło sobie na coś podobnego pozwolić. Ale nie mogąc odkryć bieguna północnego, czyni przynajmniej odkrycia naukowe.

Ostatnie takie odkrycie udało się *Czasowi*.

Oto jeden z jego historyków odnalazł w Holandii dzieło ogłoszone w r. 1699 w Amsterdamie „dla nas polaków, zwłaszcza zaś dla historyków, cenne i zajmujące“. Tytuł jego brzmi: „Anecdotes de Pologne, ou mémoires sur la cour du roi Jean Sobieski“. Autorem jego był Daleyrac, szlachcic francuski. Naturalnie *Czas* nie poprzestaje na suchej wzmiance, lecz podaje treść pamiętników Daleyraca. Kilka dzienników warszawskich przedrukowało artykuł *Czasu*, wyrażając radość, że przybyło nowe źródło do dziejów Sobieskiego.

Radość ta została zmniejszoną, lub jeszcze (jak kto uważa) zwiększoną od chwili, kiedy Zarząd Muzeum Narodowego zawiadomił redakcyę *Czasu*, iż dzieło Daleyraca znajduje się w bibliotece Czapskich. Zmniejszoną dlatego, że dzieło nie okazało się „unikatem“; zwiększoną, ponieważ historycy i badacze (piszą uprzejmi uczeni muzealni) „mogą korzystać z dzieła na miejscu“.

I my cieszylibyśmy się bardzo tak z odkrycia „nowego źródła“ jak i z tego, że historycy nie będą potrzebowali jeździć aż do Holandii, gdyby nie to, że nietylko wszyscy historycy, ale nawet ludzie kochający tylko dzieje narodowe i czytający dzieła historyczne, wiedzieli od niepamiętnych czasów o pamiętnikach Daleyraca. Nie są one ani nowością, ani rzadkością, bo znajdują się w każdej bibliotece publicznej (i to najczęściej w paru edycyach) i w wielu większych bibliotekach prywatnych Kto z historyków naszych pisał o Sobieskim, ten do Daleyraca zaglądał i z niego korzystał.

Dość było historykowi *Czasu* i historykom muzealnym zajrzeć do wielkiej Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda, a przeczytaliby obszerny artykuł pisany w r. 1864 o Daleyracu pióra Juliana Bartoszewicza. Zresztą słynny bibliofil biskup Józef Jędrzej Załuski pisał już przed 150 laty o Daleyracu w swej „Bibliotece historyków polityków i prawników“ i znał dwa jego wydania. Czacki wspominał, że Daleyracowi przypisywano i drugie dzieło mianowicie: „Mémoires du chevalier de Beaujeu“ wydane w Amsterdamie w roku 1700. (wyszło w przekładzie Kranshara). Niemcewicz w swym „Zbiorze pamiętników o dawnej Polsce“ dał wyjątki z Daleyraca.

Bibliografia Estreichera, jak Encyklopedye również jest na to, aby do niej zaglądać. A gdyby zajrzeli historycy *Czasu* i historycy z Muzeum dowiedzieliby się, ile wydań miały „anegdoty“ Daleyraca i w jakich językach.

Wątpić zatem należy, czy historycy nasi skorzystają z uprzejmości Zarządu Muzeum i będą cisnęli się tłumnie do biblioteki Czapskich dla poznania „nowego“ źródła do naszych dziejów. *kb.*

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Wyznawcom „pilznerka“. W poważnem piśmie czeskiem „Nowa Doba“ znajdujemy następujący artykuł:

„Bardzo często już dochodziła do publiczności wiadomość, że Mieszczański Browar w Pilźnie jest przedsiębiorstwem czysto niemieckiem. Ostatni raz pisano o tem szczegółowo, gdy pewne konsorcyum wiedeńskie nabyło z rąk czeskich w Pilźnie kilka realności, posiadających prawo udziału w tym browarze.

„Nie jest to żadną nowiną dla wtajemniczonych w miejscowe stosunki, ale konsumenci w oddalonych czeskich, polskich i wogóle słowiańskich miastach nie wiedzą, że pijąc z taką lubością „Prazdrój pilzneński“ wspierają tylko najzjadliwszych swych nieprzyjaciół, i to nie tylko niemieckich właścicieli domów w browarze swój udział mających, ale także niemieckich dostawców, znikoma albowiem tylko część do nich się nie zalicza.

„Chmielu dostarczają browarowi jedynie Niemcy producenci ze Zatecu, najżarliwsi zwolennicy Wolfa i Schönerera.

„Jęczmienia, słodu, wszystkich artykułów technicznych, których ten olbrzymi zakład w ogromnej ilości potrzebuje, również 90—95% tylko z niemieckich źródeł się pobiera.

„Obecny piwowar jak i wszyscy jego poprzednicy to zagorzali Niemcy.

„W jaki jednak sposób browar ten pieniędzy ściągniętych od Czechów, Polaków, Morawian i Słowian, używa wogóle na poparcie germańskich zakusów, mało wiedzą nawet w samem Pilźnie.

„Dowiedzieliśmy się ze zupełnie wiarogodnego źródła, że Mieszczański Browar ofiarował niemieckiemu Schulvereinowi 50.000 K, a na budowę niemieckiego kasyna w Pradze 200.000 K, oprócz tego nie żałował mniejszych datków na ogólną sumę wielu tysięcy dla stowarzyszeń i przedsiębiorstw hakatystycznych w Czechach.

„Lecz nie na tem koniec.

„Browar ten liczy restauratorowi niemieckiego kasyna w Pradze taniej swe piwo o 1 K na hektolitrze, niż każdemu innemu czeskiemu lub słowiańskiemu odbiorcy, daje więc niemieckiemu kasynowi podarek 7000 K rocznie.

„Demonstrującym akademickim związkom niemieckim w Pradze z okazyi prowokacyjnego bumlu w nagrodę za obronę niemczyzny podarował 100 hl piwa“.

Przytaczamy ten artykuł *ad usum* licznych naszych wyznawców „pilznera“. Mamy niepłonną nadzieję, że po przeczytaniu go... pójdą na „bombkę“ pilznera. Obawiamy się nawet czy obrażeni przez nas w najświętszych uczuciach, nie odpowiedzą bojkotem.. „Straży Polskiej“.

Kostki Grafa i Maggiego.

Znaną jest powszechnie zaprawa Maggiego do zup. Jestto wyciąg z grzybów, który rzeczywiście dodaje smaku, ale można go zastąpić wprost grzybami. Zresztą przy wprowadzeniu tej zaprawy do handlu, 8—10 kropel nadawało smaku grzybowego — obecnie i trzy razy tyle nie wystarcza. To też Maggi coraz mniej się rozchodzi.

Widocznie zmniejszony popyt wpłynął na nowy... wynalazek. Są nim „kostki“ Maggiego, z których każda, rozpuszczona w gorącej wodzie, ma dawać talerz wybornego rosołu, a dodana do jakiejkolwiek zupy czyni z niej polewkę godną królewskich podniebień.

Filantropią Maggiego zaraził się jakiś Graf. I on ogłasza swe „kostki rosołowe“, które, jak twierdzi rozrzucana „Najnowsza piosnka o kostkach Grafa“ „dają żyć mężom w siódmem niebie“; nawet „złamani w zdrowiu“ stają się „rumianymi grubasami“.

A najważniejsza rzecz, że kostki, tak Maggiego, jak Grafa, są nadzwyczaj tanie. Na uwagi męża zwrócone do żony nalewającej mu rosół:

Twoja wielka rozrzutność
Mnie męża wprawiać w butność.
Wszak mięsa targ dziś drogi
Dla rosołów jam zbyt ubogi.
— Ty głupcze (uśmiechnięta
Mówi żoneczka cięta)
No sześć halerzy wszak
Tożto nie drogo tak.
Przecież dałam ci do stołu
Kostkę Grafa rosołu.

Sześć halerzy za talerz wybornego rosołu — to rzeczywiście nie drogo. Ale...

Z tych 6 halerzy odstępuje Graf czy Maggi 2 halerze sprzedającym. Przypuśćmy, że chce zarobić tylko halerza na kostce — to już mamy 3 halerze. Koszta wyrobu, opakowania, przesyłki, reklamy (ogłoszeń) wynoszą znów choćby 2 halerze na kostce. A więc na wartość jej realną, pożywną, zostaje 1 halerz.

Za jednego halerza talerz rosołu! Ciekawa rzecz czy znajdą się takie naiwne, które w to uwierzą? Taki to byłby rosół, jak i poezya „kostkowa“.

Nie dajcie się więc złapać, łaskawe panie. Niech wasi mężowie nie jedzą

„Ustawicznie przy stoliku
Trochę tego rosoliku“.

Liga Pomocy przemysłowej chcąc zwrócić uwagę szukającym źródła zarobku i wzbudzić zainteresowanie w sferach kupieckich dla ważnej gałęzi przemysłu domowego, wiejskiego, a to: dla wyrobów ze słomy i szuwaru — urządzi w styczniu r. 1910 kilkudniową Wystawę wzorów tego działu przemysłu.

Liga pomocy przemysłowej wzywa wszystkich wytwórców wyrobów ze słomy i szuwaru (słomianek, rogóżek, torb szkolnych, koszyków na chleb, osłonek na flaszki, kapeluszów słomianych, mat, kobiałek, wyrobów galanteryjnych i t. p.), ażeby zechcieli natychmiast zgłosić się pisemnie do biura Ligi Pomocy przemysłowej, z wymienieniem rodzaju produkcyi przez nich wykonywanej i przedmiotów, które mają nadesłać na tę Wystawę.

Należy zaznaczyć, iż dla wyrobów tego rodzaju otwierają się poważne pola zbytu, w drodze eksportu.

Organizacya bojkotowa (lwowska) wzywa pp kupców z działu zabawek dziecinnych, by się na dzień św. Mikołaja i na Gwiazdkę zaopatrzyli w towar krajowy a nie niemiecki.

Zawiązany przed rokiem z inicyatywy tamtejszych towarzystw kupieckich komitet bojkotowy zajął się już tym tak ważnym działem handlu i skierował pp. kupców ku źródłom nieniemieckim.

Zarazem uprasza organizacya pp. kupców, by zechcieli przedłożyć Organizacyi wykazy fabryk nie niemieckich, z których pokrywają zapotrzebowania, by Organizacya mogła skutecznie poprzeć ich usiłowanie.

Odpowiednią zaś odezwę z informacyą dla publiczności kupującej ogłosi Organizacya bojkotowa przed dniem św. Mikołaja.

Popieranie przemysłu swojskiego. Jak wrogo odnosi się ciągle jeszcze nasze kupiectwo do przemysłu polskiego, dowodzi następujący fakt, podany nam do wiadomości przez lwowską Organizacyę bojkotową. Oto na szczególne dopiero żądanie jednego z klientów i po potraktowaniu go najpierw Hardmudtem podano mu w jednym z lwowskich pierwszorzędnych sklepów ołówek płaski „Polonia“ wyrobu Majewskiego. Za szczególną jednak fatygę wykrycia tego ołówka w odleglejszym magazynie policzono sobie widocznie osobne honoraryum, skoro podyktowano klientowi za ów ołówek cenę 40 h.

Wynika stąd, że niektórzy pp. kupcy robią swoją „politykę bojkotową“ polegającą na tem, iż polskiemu przemysłowi utrudniają konkurencyę obarczając go haraczem.

Fabryka Schleyenów. W tych dniach otwarto we Lwowie fabrykę akumulatorów systemu Tudor.

Lwowska organizacya bojkotowa stwierdziła wprawdzie, że fabryka założona przez Braci Schleyenów i Sp. rzeczywiście będzie wytwarzać i wszechstronnie wykonywać akumulatory, ale mimo to jest fabryką założoną za pruskie pieniądze z tendencyą podkopania krajowej fabryki akumulatorów systemu Dr. Staneckiego.

Organizacya zapowiada wydanie broszury, która rzecz całą wyświetli i społeczeństwo nasze przestrzeże.

Nadużycie. Kupiec stanisławowski Stanisław Rutkowski sprowadza bloki rysunkowe z Węgier od firmy Szenasy Bela — zakleja węgierski napis „Akvarel Raiztömb“ S. B. i na miejscu tej węgierskiej etykiety nakleja niestety z całą świadomością swej karygodnej manipulacyi napis „Wyrób galicyjski S. R. Stanisław Rutkowski w Stanisławowie“.

Blok taki znajduje się w aktach Ligi Pomocy przemysłowej jako dowód.

Kwiatki z ojczystej niwy.

Do Czasu z d. 10 listopada 1909 dodał p. J. Blitchbaum (Dietelsgasse 77) zawiadomienie „Hochwohlgeborenów“, że w tych dniach otrzymał „eine grösse Partie sehr schoner Perser u. Smyrnaer Teppiche“ — i że sprzedaje je w swoim „Niederlage“. Przypuszczać należy, że na Dietelgasse nie podąży nikt z szanujących się Polaków.

Dostarczono nam „Einladung zur Trafikanten-Versammlung in Krakau, (Saal bei Tabakverleger Lichtig Podgorce (tak!) zu erfragen in den Tagenblätter zu ersehen...“ „Von Wien“ mieli przybyć na Versammlung „Redakteur Porges und Vorstand K. v. Makowski“.

Wszystkie nasze pisma umieszczają znacznych rozmiarów ogłoszenie tej lakonicznej treści:

Juljusz Meinl, Kraków Rynek 30.
Kawa, Herbata, Kakao, Czekolada.

Wobec tego powtarzamy i my nasze lakoniczne ogłoszenie:

Juliusz Meinl, (Kraków, Rynek 30) złożył Schulvereinowi 4000 koron na szkoły niemieckie w Galicyi.

Reklamę tą umieszczamy bezpłatnie.

Rozmaitości.

O Lwowie. Znany poeta Z. Dębicki powróciwszy z uroczystości Słowackiego we Lwowie, pomieścił w *Głosie Warszawskim* fejleton o rozwoju stolicy Galicyi, będącej „nowym środkiem poważnej pracy kulturalnej, prowadzonej pod hasłem renesansu narodowego“. Fejleton swój kończy Dębicki następującemi uwagami:

Wszędzie znać postęp, wszędzie rozlega się to krzepiące, pełne nadziei i wiary we własne siły hasło: naprzód!

„I dlatego atmosfera Lwowa pociąga. I dlatego nam, którzy spędziliśmy tam niedawno kilka dni, wolnych od trosk i niepokojów domowych, było we Lwowie i wśród lwowian tak dobrze, tak miło i swojsko, że nie dostrzegliśmy żadnych plam na słońcu, które tam świeci, że nie doleciał nas ani odgłos walk i swarów partyjnych, ani zgrzyt sprawy ruskiej, zaostrzającej się z dnia na dzień, mimo pozorów dążenia do zgody, ani żydowsko-niemiecki żargon, świdrujący niemile ucho polskie, a rozwielmożniony tu nad miarę.

„Żeby te rzeczy uchwycić, ocenić, poznać i zgłębić — trzeba bywać we Lwowie częściej, trzeba się wżyć w jego codzienne życie, w jego powszedni, szary ból, którego mu nie brak, który mu los podaje, jak każdemu miastu polskiemu.

„I dlatego pożytecznem byłoby niewątpliwie i dla nas i dla nich, gdybyśmy częściej odwiedzali stolicę Galicyi, nietylko od święta, nietylko w dni uroczyste.

„Wycieczki zbiorowe, jakie kilkakrotnie już urządziła Galicya do Warszawy, pod przewodnictwem Kazimierza Bartoszewicza, powinny i u nas wejść w zwyczaj, powinny zaprowadzić do Lwowa tych zwłaszcza, którzy wątpią o żywotności narodu i zamykają oczy na niezaprzeczony nasz postęp i rozwój. Tam zobaczą oni niejedno i przekonają się na własne oczy, że jednak... żyjemy“.

Niemcom w Galicyi źle się dzieje! *(Mg.)*. Jak postępują władze krajowe galicyjskie z osobnikami niemieckimi, którzy w swoim „Volksblacie“ skarżą się ustawicznie na ucisk, najlepszy dowód stanowi dokument następujący:

An
den Herrn Olma
in Hałcnów
Post Biała.

Ueber das Telegramm der dortigen Kaufleute dto $^{24}/_{6}$ l. J., gehen wir Bescheid, dass die Erhebungen rücksichtlich des Umfanges des Postverkehrs in der dortigen Gemeinde ein ungünstiges Resultat ergeben haben, weswegen die Errichtung eines Postamtes dortselbst dermalen nicht begründet erscheint.

Da aber die Bedingungen für eine Postablage bestehen, wurde die Errichtung einer solchen für Hałcnów beim K. K. Handelsministerium beantragt.

K. K. Gal. Post und Telegraphen Direktion
Lemberg, am 26. Juni 1909.

Czyby w innym kraju koronnym odpowiedziała jakakolwiek dyrekcya petentowi w jego języku i to do tego tak pospiesznie.

Czesi na Wołyniu. Przejście Czechów wołyńskich na prawosławie wyjaśnia w następujący sposób korespondent pisma *Pozdrav ze stare vlasti* (Nr. 7.), wychodzącego trzy razy na miesiąc w Trebenicach w Czechach, a wydawanego dla emigracyi czeskiej:

Czescy osadnicy, przyjąwszy w roku 1870 uroczyście poddaństwo rosyjskie, wyrzekli się wkrótce potem także „nieprzyjaznego nam zawsze rzymskiego katolicyzmu“ i zgłosili, że wyznają husytyzm. Władza zażądała, żeby przedstawili jej duchownych husyckich. Wyprawiono więc do Czech dwóch posłów i reprezentantów kolonistów, Fr. Pribyla i Józefa Olica, żeby poszukali księży wyznania husyckiego. Znaleźli i przywieźli dwóch: ks. Wacława Hrdlickę, któremu dostała się „husycka“ fara w Podhajcach i ks. Jana Saskę, który osiedlił się w Glińsku. Przyjechał potem jeszcze trzeci ks. Fr. Kaspar, proboszcz czeski w Hulczy. Dostali po 800 rubli rocznej pensyi i po 200 rubli na objazdy osad czeskich. Na znak, że zrywają z katolicyzmem, pożenili się zaraz, a potem — zaczęli się kłócić z sobą i parafianami, nawet wodzić po sądach.

Jak urządzić „kościół husycki“ w XIX wieku? Zamiast husytyzmu, pojawiły się na scenie Bractwo czeskie, starokatolicyzm, protestantyzm. Rząd czynił wszelkie starania, żeby doprowadzić do jedności wśród powaśnionych osadników. Zwołano jeden i drugi pamiętny zjazd kościelny w Kwasiłowie, ale nie miały one żadnych pozytywnych wyników, tylko zaostrzyły jeszcze bardziej spory religijne. Skargi szły za skargami to z tej, to z owej strony, aż władza nabrała wreszcie przekonania, że to nie może trwać tak dalej. Następstwem tego było zniesienie w 1888 r. wszystkich trzech far czeskich i przystąpienie większości czeskich osadników do cerkwi prawosławnej.

Rząd pozakładał Czechom szkoły ludowe z językiem wykładowym rosyjskim, a gminy utrzymywały kosztem własnym czeskie szkoły „przygotowawcze“ z czeskimi nauczycielami; niektóre gminy pozakładały sobie nawet własne szkoły ludowe czysto czeskie. W r. 1888 poddano wszystkie te szkoły pod jurysdykcyę ministra oświaty, a nauczycieli czeskich odkomenderowano do Ostroga na kursy przy seminaryum nauczycielskiem rządowem, żeby zdali egzamin z języka rosyjskiego. Skutek był taki, że nauczyciele po pewnym czasie pozrzekali się swych posad, a miejsce ich pozajmowali kandydaci rządowi, wśród których nie brakło jednak i Czechów. Językiem wykładowym został wszędzie rosyjski; tylko tam, gdzie jest nauczyciel Czech, odbywa się nadobowiązkowa nauka języka czeskiego.

Niebawem po zrusyfikowaniu szkół zniesiono też autonomiczne „wołosti“ (urzędy gminne) czeskie, i poprzydzielano czeskie osady do najbliższych „wołosti“ urzędowych.

Dawni księża eks-katoliccy, potem „husyccy“ niewiadomego wyznania, przyjęli w końcu też prawosławie, „ale tylko jako laicy“. — Wszyscy trzej otrzymali posady przy szkołach średnich: ks. Kaspar rysunków i kaligrafii, ks. Hrdlicka i Saska (o ironio losu!)... języka niemieckiego.

Ale nie brak duchownych prawosławnych czeskich, Czechami są obecni parochowie OO. Feodor Hejda w Kwasiłowie, Antoni Hejda w Ulbarowie, Vanek w Hulczy — i podobno inni jeszcze. Były misyonarz eparchialny na Wołyniu, protorej M. Nemeczek, jest obecnie starszym dozorcą szkół cerkiewnych w Orenburgu, odznaczony orderem św. Anny.

KĄCIK JĘZYKOWY.

IV.

Narzędzia stolarskie i ciesielskie.

Dłuta: dłubak (Stechbeitel), gniazdak (Lochbeitel), grzbietak (Kanteisen), kątak (Geissfuss), kosak (Balleisen), pieśznia (Hohleisen), półpieśznia (Hohlflacheisen), płaskie (Stemmeisen), wybierak (Grundeisen). Klejarka (Leimtiegel). Kołowrotek (Bohrkurbel). Koziołek śrubowy (Fügebock). Krajak (nóż) (Schnitzer). Miara skurczowa (Schwindmaass). Młotek (Handhammer). Młotek drewniak (Holzhammer). Młotek obługowy (Fournierhammer). Pacholik (Stellknecht). Piły: ciesielska (Quersäge), czopnica (Schlitzsäge), kabłącznica, (esówka) (Laubsäge, Bogensäge), kłodnica (Klobsäge), krawężnica (Oertersäge), krzywica (Sweifsäge), otwornica (Stichsäge, Lochsäge, Spitzsäge), płatnica (Fuchsschwanz), płatnica grzbietowa, grzbietnica (Rücksäge), tarczowa (Kreissäge), tarnica (Brettsäge), wpustnica, odsadnica (Absatzsäge, Nuthsäge), zasuwnica (Gratsäge). Rozwiernik (Schrenkeisen). Skrobaczka (Ziehklinge). Świdry: gwoździak (Nagelbohrer), krętak (Schneckenbohrer), łopień (Parallelbohrer), łyżak (Loffelbohrer), odśrodkowiec (Centrumbohrer), piastak (Stellmacherbohrer). Ciosła, cieślica (Queraxt). Układnica (Wagenscheite). Ustawnica (Setzwage). Węgielnice: prosta (Winkelmass), ruchoma (Schragemass), ukośna (Gehrmass). Wiórnica (stół stolarski) (Hobelbank). Wiórniki: boczník (Wandhobel), kątnik (Simshobel, Stosshobel), krawężnik (Falzhobel), krzywak (Schiethobel), odsadnik (Wagenhobel), ogładnik (Putzhobel), płytnik (Plattbankhobel), pociągnik, ciesielski (Zughobel, Fughobel), rowkownik (Rundhobel), równiak (Schlichthobel, Streichhobel), spojownik (Fügehobel), wałkownik (Stabhobel wpustnik (Nuthhobel), wybiornik (Grundhobel), wycięt-ник (Streichhobel), wygładnik (Raubankhobel), wypustnik (Federhobel), zasuwnik (Grathobel), zdobnik (Karniesshobel), zdziernik (Schrotthobel), ząbek (Zahnhobel), żłobnik (Hohlkehlhobel). Wiórnikowe noże (Hobeleisen). Wapornica pionowa (Winkelstosslade). Wapornica uciosowa (Gehrmasstosslade). Wyrwak (Kistenöfner). Zastawek (Bankeisen). Znacznik stolarski (Streichmass). Zwornica śrubowa (Shraubenzwinge). Zwornica rozsuwalna (Schraubknecht).

Redakcya *Wieku Nowego* ogłosiła oryginalny konkurs. Oto pomieściła list, zawierający 31 błędów gramatycznych lub logicznych i za wskazanie ich przeznaczyła nagrodę. List ów z „błędami" brzmi:

Kochana Zosiu!

List twój odebrałam onegdaj o siódmej wieczór. Nie mogłam ci odpisać zaraz, tak jak prosiłaś, bo kolej ztąd odchodzi przed ósmą. Wczoraj znów było wielkie zapuszczanie podłóg; ani gdzie usiąść. Że zaś przysłowie mówi: „Lepiej późno jak nigdy", więc piszę dziś, odpowiadając ci na wszystkie twoje pytania.

U nas nic tak dalece nowego. Ciocia Klocia już zdrowsza, wczoraj nawet wstała z łóżka, natomiast nasz praktykant, p. Józef, położył się na influenzę. Pogoda szkaradna, jakby w marcu. Wystaw sobie, dotąd ani razu nie jeździłam konno. Naturalnie, i o wycieczkach do lasu nie mogło być mowy. Chociaż, co prawda, nie bardzo ja lubię chodzić piechotą. Kończy się na tem, że większą połowę dnia spędzam przy fortepianie.

Okropnie kasowałam się na zapowiedziany teatr w naszem miasteczku. Okazało sie jednak, że trupa nędzna, aż strach. Jeden tylko monologista jest tam bardzo zabawny. Słuchając jego dowcipów, myślałam, że skonam ze śmiechu.

Mieliśmy tańcującą herbatkę u p. p. Karolów. Moja siostra Frania pierwszy raz debiutowała w długiej sukni. Bawiliśmy się doskonale. Tańczyłam bardzo wiele. Poznałam p. Henryka Z. Przystojny, młody człowiek, elegancki, w każdem słowie zdradzający wykształcenie. Jakże on się różnił od drugich w tem towarzystwie!

No i co chcesz wiecej — z prowincyi?

Czytałam w pismach o śmierci naszego wspólnego profesora literatury, Fiszera. Pogrzeb jutro. Żałuję, że nie znajdę się pomiędzy tymi, którzy pospieszą oddać mu ostatnią przysługę.

Doniesz mi, gdzie wybieracie się na lato?

Na tem kończę, ściskając cię z całego serca.

Twoja Władka.

P. s. Szanownej Mamie załącz moje ukłony.

P. s. Ale ale, napisz mi, wiele kosztują pończochy jedwabne za kolana? Papa przywieść miał z Wrocławia, i zrobił mi zawód.

A może nasi czatelnicy i czytelniczki zechcą też poszukać tych 31 błędów? Prosimy bardzo. Takie „zadania" mogą przynieść pożytek.

Książki nadesłane do redakcyi.

Album jubileuszowe: Grunwald, szkic historyczny, opracował Jacław z Bratkowa. Poznań, nakład Z. Rzepeckiego i Sp. str. 336.

Jestto „pierwsza jaskółka" wydawnictw grunwaldzkich, ale wątpić należy czy którakolwiek z następnych dorówna jej tak obszernością jak pięknością wydania.

Autor rozpoczyna swe opowiadanie od początku Prussaków. Po skreśleniu ich dziejów pierwotnych przechodzi do powstania zakonu krzyżackiego, do jego podboju Prus i walk z Litwą i Polską. Rzecz prosta, że główna część dzieła poświęcona jest „wielkiej wojnie" 1410 i klęsce Zakonu pod Grunwaldem. Później idą dzieje dalszego stosunku Zakonu do Polski i jego zniesienia. Ostatnia część opowiada o lennych Prusach książęcych za Albrechtów i za Hohenzollernów, elektorów brandeburskich, o powstaniu królestwa pruskiego i jego udziale w rozbiorze Polski.

Opowiadanie, oparte na dobrych źródłach, zaleca się spokojnym i jasnym wykładem.

Zewnętrzna strona dzieła zasługuje na wysokie uznanie. Ozdabia je 261 rycin w tekscie i 11 chromolitografij. Prócz tego dodał wydawca opracowaną przez siebie mapę zamków i ziem krzyżackich. Gustowna oryginalna oprawa dopełnia pięknej całości.

Bogdan Krzysztofowicz (Prawdzie). Podstawy narodu w rodzinie, szkic społeczno obyczajowy. Lwów 1909. Art. 48.

Sam tytuł wyjaśnia treść broszury. Autor gorący patrjota, pragnie podnieść i uszlachetnić rodzinę, aby przez nią zapewnić byt i przyszłość narodu. „Najprzedniejszym i najszczytniejszym dla kobiety Polki obowiązkiem rodzić i wychowywać polskie dzieci w duchu przykazań narodowych. Rodzice i wychowawcy powinni całą duszą i całem sercem kochać Ojczyznę, i wszystkie swe myśli i czyny oddawać na usługi jedynej idei, godnej Polaka w niewoli, — a tą ideą jest odrodzenie narodowe ludu polskiego, wyzwolenie duchowe i polityczne Polski". Autor z boleścią wskazuje na istniejące pod tym względem braki w polskiej rodzinie i nawołuje do poprawy. Pisze z zapałem, nie szczędzi chłosty fałszywym patrjotyzmom „kandydackim", deprawacji młodzieży, lekkomyślnemu traktowaniu życia przez znaczną część kobiet ze sfery inteligencyi. Broszura warta przeczytania i zapamiętania.

Tenże. Tryumfy krzyżackiej kultury. Lwów, 1909, str. 72.

Autor podaje w krótkim zarysie dzieje gwałtów pruskich, opinię o nich Europy i zachowanie się wobec nich trzech naszych dzielnic. Uznaje konieczność zorganizowanego przeciwdziałania zamachom wrogów. Pragnie zatem, aby na wzór „Straży Polskiej" założyć we Lwowie „bezpartyjną milionową organizacyę pod nazwą Polskiej Ligii narodowej". Nawoływanie to, jak wiemy, odniosło skutek, bo założono we Lwowie Polską Ligę Narodową. Niestety optynizm zawiódł autora — Liga jest wprawdzie bezpartyjna, ale nie „milionową". Nasi patrjoci chodzą luzem, lub walczą w stronnictwach najczęściej o dobro jednostek. Nie doszliśmy jeszcze do zrozumienia, że bez względu na przekonania polityczne, można iść razem tam gdzie toczy się sprawa o wspólne dobro narodowe. W każdym razie zasługą autora, że ideę tę szerzył i że Liga zdołała skupić przy sobie pewną część gorącego i szerszego patrjotyzmu obywateli. Obecnie (patrz „Kronikę") toczą się rokowania o połączenie Ligi ze Strażą.

Marya Bogdanik (ówna). Kochajmy go wszyscy. O Juliuszu Słowackim uczącej się dziatwie opowiedziała... Poznań 1909 str 72.

Praca ta została nagrodzona na konkursie „Małego Światka" we Lwowie. Już ta nagroda udzielona przez koło ludzi, wiedzących najlepiej jak do dzieci przemawiać, świadczy, że praca ta odpowiada swemu przeznaczeniu. Rzeczywiście autorka umiała nagiąć swe wiadomości i zdolności do potrzeb „maluczkich". Słowacki „dziecko" i „młodzieniec" zajmuje większą część jej opowiadania. Przedstawia piękne strony charakteru poety, podnosi jego wysoki patryotyzm. Młody czytelnik zapoznaje się nietylko z głównemi faktami życia Słowackiego, ale i z tłem, na którem to życie się rozwijało: przesuwają się przed jego oczami Krzemieniec, Wilno, powstanie 1831 r...

Michał Marczewski. Pijawki. Warszawa 1909 str. 137.

Jest to kartka z życia miasta prowincyalnego w Królestwie Polskiem. Bohaterem jej władza, a więc komisarz policyi podpułkownik Siemion Warłnamowicz Cyc, jego zastępca porucznik Iwan Iwanowicz Zotikow, brandmajster Konstanty Piotrowicz von der Rapp, lekarz miejski Pikura itd. skończywszy na rewirowym. Wszyscy oni ciągną dochody z łapownictwa i szykan, jakich się dopuszczają względem wydanej na ich łup ludności. Przedmiotem opowiadania autora są czyny i zajęcia komisyi „dla osmotra kałbasnych mastierskich" (dla rewizyi zakładów rzeźnickich, masarskich). Gdzie więc jest poczęstunek i łapówka, tam wszystko w porządku, choćby brud kapał i było widoczne niebezpieczeństwo pożaru — gdzie właściciel jest naiwny, stosuje się do wszelkich wymagań, zachowuje czystość wzorową, tam znajdzie się niebezpieczna belka, tam znajdą się i trychiny, a w ślad za tem idzie wysoka kara. Obrazki na tem tle podpatrzone zalecają się dobrą charakterystyką, żywością opowiadania i humorem, co prawda niewyszukanym, ale wiernie malującym działaczy opisywanego środowiska.

Kronika „Straży Polskiej".

Na posiedzeniu nadzwyczajnem Zarządu głównego „Straży Polskiej" p. Bogdan Krzysztofowicz, delegat Polskiej Ligi narodowej, przedstawił projekt współdziałania, a ewentualnie połączenia się obu tych pokrewnych zadaniami stowarzyszeń. Myśl ta znalazła w Zarządzie naszym gorące uznanie.

Projekt przekazano do rozpatrzenia osobnej komisyi, w skład której wchodzą: prof. dr. Tadeusz Grabowski, prof. Michał Magiera, prof. dr. Stefan Surzycki, radca dworu prof. dr. Wicherkiewicz i prezes Zarządu K. Bartoszewicz. Komisya ta ma w ciągu tygodnia przyjść z wnioskami na posiedzenie Zarządu. Spodziewać się należy, że rokowania wydadzą pomyślny rezultat.

Dnia 26 listopada staraniem Akad. koła „Straży Polskiej" odbyło się zwiedzanie fabryki maszyn na Gregórzkach p. Zieleniewskiego. Uczestnicy wycieczki obejrzeli montownię bardzo wielką i efektownie urządzoną, elektrownie oraz doki, gdzie przygotowują się cztery statki dla Namiestnictwa do handlowej żeglugi na Wiśle.

W zwiedzaniu wzięło udział 50 osób.

Akad. koło ma zamiar w najbliższej przyszłości zwiedzić elektrownię miejską, oraz urządzić szereg wycieczek do kilku zakładów przemysłowych w Krakowie.

Sekcya ekonomiczna „Straży Polskiej" wybrała swym przewodniczącym inż. Władysława Magnuskiego, sekretarzem p. Juliana Bartoszewicza, głównym referentem prof. Teofila Stupnickiego.

Sekcya postanowiła prowadzić dalej akcyę bojkotową towarów obcych, a zwłaszcza pruskich, zwracając głównie uwagę na przedmioty codziennego użytku, jako najłatwiejsze do bojkotowania. Na każdem posiedzeniu sekcyi ma być przedstawiony przez osobnego referenta jeden dział lub rodzaj przemysłu, do którego sekcya będzie posiadać już gotowe statystyczne materyały. Każdy taki referat, uzupełniony przez dyskusyę, będzie ogłaszany publicznie w pismach i stowarzyszeniach, na osobnych wiecach i zebraniach. W ten sposób mogłaby się powoli utworzyć księga przemysłu polskiego.

Na ostatniem posiedzeniu sekcyi obradowano nad kwestyonaryuszem mającym służyć za podstawę do referatów i do akcyi

Z powodu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, uchwalono wydać odezwę „gwiazdkową", zachęcającą do zakupna zabawek swojskich i do przywrócenia „drzewku" (choince) jego tradycyjnej postaci. Nie obrzucano go dawniej świecidełkami szklannemi i blaszkami fabrycznego wyrobu pruskiego, na które tracimy setki tysięcy, lecz ozdabiano je robionemi w domu girlandami kolorowemi i obwieszano jabłkami, orzechami, piernikami itd.

Sekcya zwróciła uwagę na olbrzymie rozpanoszenie się u nas obcych wyrobów cukierniczych. Po większych handlach całe szafki szklanne zapełnione są obcemi czekoladami, cukierkami, kruchemi ciastkami i biszkoptami, mimo, że w kraju posiadamy własne wyborne cukiernicze wyroby. Doszło do tego, że nawet w specyalnych sklepach wyrobów cukierniczych spotykamy obcy towar w ponętnem opakowaniu. Bliższe zbadanie tej sprawy, wyjaśnienie dlaczego tak się dzieje i wskazanie środków do walki z tym cukrowym najazdem, polecono osobnemu referentowi.

Sekcya postanowiła pójść za przykładem organizacyi bojkotowych we Lwowie i Przemyślu i ogłaszać publicznie te firmy, które popierają przemysł obcy ze szkodą polskiego.

Posiedzenia sekcyi odbywać się będą co czwartek.

Staraniem miejscowego Koła „Straży Polskiej" odbył się w niedzielę 21. listopada w Rybnej wieczorek ku uczczeniu Słowackiego. Odczyt o Słowackim wygłosiła nauczycielka p. Ligęzianka. Deklamacye i 5 odsłon

z „Balladyny“ dopełniły programu. Do urządzenia obchodu przyczynili się głównie ks. proboszcz Widlarz i hr. Piotr Rostworowski.

Na zimowe wieczory przygotowuje komitet szereg sztuczek treści bądź religijnej, bądź moralnej i patryotycznej.

Sprostowanie. Autor artykułu „Niemcy w Galicyi“ przytoczył w nim wyjątek z ogłoszonego publicznie zażalenia na stosunki w kościele bialskim. W zażaleniu tem była wzmianka, iż deputacya bialska w sprawie polskich nieszporów została dobrze przyjęta przez ks. kardynała Puzynę i ks. biskupa Nowaka, ale powróciła tylko z obietnicą. W sprawie tej otrzymujemy następujące sprostowanie:

„My niżej podpisani, nie uzyskawszy nic od tut. ks. Proboszcza, udaliśmy się d. 22. września 1907 z prośbą popartą przez wszystkie korporacye polskie w Białej, jako wydelegowani do Jego Eminencyi Księcia Kardynała, który po łaskawej audyencyi zaprowadził nas sam do dolnych ubikacyj i polecił Najprzew. ks. Biskupowi A. Nowakowi do dalszego przesłuchania. Po trzygodzinnych nad wyraz łaskawych audyencyach u obu Dygnitarzy, opuściliśmy Kraków z obietnicą wymiaru nam sprawiedliwości. I pomimo licznych przeszkód, nadeszło rozporządzenie Konsystorza z 24. stycznia 1908, by się odbywały polskie nieszpory w Białej, w każdą niedzielę i święta, o godz. 4-tej po południu, choć my żądaliśmy tylko co drugą niedzielę.

„Ale nie dosyć na tem, bo w ostatnich dniach listopada (?) r. b. wysłaliśmy w imieniu klasy roboczej prośbę do Najprz. ks. Biskupa A. Nowaka o wieczorne polskie nabożeństwo Różańcowe przez cały miesiąc październik, które nadspodziewanie w przeciągu tygodnia otrzymaliśmy.

Za bractwo Apostolst. Modlit. *Józef Opyrchalski.* Za Bractwo Żywego Różańca. *Jerzy Siesiński.*

Jak widzimy nie jestto właściwie sprostowanie, ale uzupełnienie. Odezwa wspominała o „obietnicy“, a list powyższy dowodzi, że obietnica dotrzymaną została. Odezwa widocznie była pisana przed 24. stycznia 1908 r. i dlatego przebijała z niej pewna gorycz dająca się wytłumaczyć niecierpliwością.

W spisie kilku firm galicyjskich biorących udział w wystawie częstochowskiej, pominęliśmy „Wisłę“ wydawnictwo pocztówek, które na tej wystawie otrzymało medal złoty.

Donoszą nam z Leżajska, że kolonie niemieckie Gillershof, Konigsberg, Łukowa i Dornbach, wspomniane w artykule „Niemcy w Galicyi“ zostały już niemal doszczętnie wykupione przez włościan naszych a Niemcy powędrowali — co prawda, na nieszczęście nie gdzieindziej tylko do W. Ks. Poznańskiego.



Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.